

Arkadiusz Góral

Czym przyczyniliśmy się?.....	1
Sześćdziesiąt sześć lat.....	10
Sprawa docent Hankus.....	17
Pieszczołch Temidy.....	20
Gra o praworządność	32
Miara prawdziwej wielkości	39

Czym przyczyniliśmy się?

We wrześniu 1939 r., jako profesor Politechniki Warszawskiej, ale jednocześnie dyrektor Państwowego Instytutu Telekomunikacyjnego - zostałem, wraz z Instytutem, ewakuowany na wschód Polski. Instytut był, formalnie zlokalizowany przy Ministerstwie Poczty i Telegrafów, ale obsługiwał, wszystkie resorty zainteresowane Telekomunikacją, w tym - oczywiście - i resort spraw wojskowych. Z wojskiem powiązany był, nawet bardzo silnie poprzez rozbudowany Wydział Wojskowy.

Pod koniec kampanii wrześniowej zaproponowano mi wyjazd z kraju, ale odmówiłem i ostatecznie skierowałem się do Lwowa. Do 21 czerwca 1941 r. wykładałem radiotechnikę na Wydziale Elektrycznym Politechniki Lwowskiej. Stosunek nowych władz do nas - do mnie, do prof. Bartła, Krukowskiego, do wielu innych znanych profesorów był, ogólnie mówiąc, poprawny.

Po wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej i zajęciu Lwowa unikałem losu wielu kolegów, profesorów Politechniki Lwowskiej, zamordowanych przez Niemców, dlatego, że byłem na tej Politechnice jedynie gościem. Niemcy aresztowali profesorów z listy, która była przygotowana wcześniej, według stanu sprzed września 1939 r., a więc mnie na niej nie było.

W sierpniu 1941 r. wróciłem do Warszawy i wkrótce zacząłem pracować jako wykładowca w Państwowej Wyższej Szkole Technicznej, w którą zamienili Niemcy Politechnikę Warszawską. Wykładowcami w tej szkole było zresztą wielu moich kolegów m. in. prof. Pożaryski, Wolfke, Witoszyński, Huber... Miała ona kształcić młodzież na poziomie technikum, ale nadzór niemiecki był, dość powierzchowny, tak że z reguły prowadziliśmy normalny kurs politechniczny. To, czego nie dało się wykładać w szkole, wykładaliśmy poza jej terenem, w mieszkaniach prywatnych. Zachowany został, nawet - z punktu widzenia Niemców - tak podejrzany zakład jak mój, tzn. radiotechniki. Miałem jedynie ustną instrukcję od niemieckiego dyrektora tej

szkoły - A. Guttingera z Norymbergi, aby wszystko, co może wypromieniowywać w przestrzeń, unieruchomić. Odbiorniki też miały być zamknięte w szafach, zapieczętowane. W istocie tak było - odbiorniki stały w zapieczętowanych szafach, ale po odsunięciu szafy od ściany, można było z tyłu odbiorniki uruchomić. Oczywiście cały personel zakładu z tego skrzętnie korzystał słuchając zagranicznych stacji - z początku ostrożnie, w tajemnicy, a potem coraz śmielej. Doszło wreszcie do tego, że pewnego dnia wezwał mnie do siebie dyr. Guttinger: - Panie profesorze - mówi - ja się domyślam, że słuchacie radia w zakładzie, ale na miłość boską - przynajmniej nie rozgłaszajcie telefonicznie tych wiadomości po całej Warszawie. Okazało się, że jakiś urzędnik niemiecki dzwonił na Politechnikę i przy okazji wysłuchał całego komunikatu BBC.

Wkrótce po powrocie do Warszawy nawiązałem kontakt z ruchem konspiracyjnym. Wielu moich kolegów już tam działało, od września; ponieważ byłem oficerem (w stanie spoczynku), więc włączenie się do akcji przeciwniemieckiej było czymś naturalnym. Już pracę w Państwowej Wyższej Szkole Technicznej podejmowaliśmy za wiedzą i zgodą Delegatury Rządu. W jakimś stopniu była to przecież współpraca z Niemcami - staliśmy się ich pracownikami, mieliśmy legitymacje Abteilung Wissenschaft przy gubernatorstwie. Zarówno nam jak i Delegaturze chodziło jednak o to, aby kształcić młodzież - choćby nawet niewielu i choćby nawet w takim zakresie, w jakim to było możliwe. Ten cel Szkoła na pewno spełniła - mieliśmy tylko na Wydziale Elektrycznym około 200 słuchaczy, przerabialiśmy kurs politechniczny niemal w pełnym zakresie, a więc po wojnie młodzież ta przydała się bardzo gospodarce. Ponadto praca w szkole dawała nam dostęp do bazy laboratoryjnej. Wiele ekspertyz z zakresu łączności, radia (radiolokacji, tego co dziś nazywamy radarami), których dokonywałem na zlecenie AK i Delegatury, badania i oceny materiałów zdobytych przez nasz wywiad, które mi zlecano do wykonania prowadziłem bądź to na Politechnice, bądź poza nią, ale z pomocą wypożyczonej z Zakładu aparatury. Poza tym, na Politechnice produkowało się wiele sprzętu dla AK. Oczywiście wtedy każdy zajmował się własnym zadaniem, nie interesował się tym co robią inni, a więc nie zawsze znałem skalę tej produkcji. Domyślałem się tylko, że inni też coś robią, ale nie chcieliśmy wzajemnie wiedzieć, kto i co. Nie wiedzieć - to była jedyna gwarancja, że się nie sypnie, jeśli zdarzy się wpadka. Czasem tylko przez przypadek człowiek dowiadywał się nagle, że pracujący obok niepozorny gość jest zaplątany po uszy w konspiracyjne sprawy. Pamiętam, kiedy po zamachu na Kutscherę nastąpił wielki nalot Niemców na Politechnikę. Gestapo i wojsko okrążyły cały teren, plądrowali pracownie, laboratoria... Byłem wtedy u siebie z (późniejszym profesorem) kolegą Ryżko, gdy nagle wpada do gabinetu jeden z moich mechaników - p. Władysław Szymczyk.

- Panie profesorze - mówi - mam sześćdziesiąt grawerowanych płyt do nadajników akowskich, nie mam pojęcia, co z nimi zrobić!

Poderwaliśmy się z kolegą. Przed budynkiem kręca się już Niemcy, lada chwila mogą wejść do Zakładu - co zrobić?

W jednym z pokojów naszego Zakładu stały szafy - stare, solidne, jeszcze z czasów Mikołaja II, zastawione wycofaną z pracowni aparaturą - każda szafa z potężnym cokołem, w środku pustym. Znaleźliśmy jakiś kawałek deski, we trzech dźwignęliśmy jedną z szaf i wsunęliśmy płyty do wnętrza cokołu. Po kilku dniach, gdy

się już wszystko uspokoiło, zdecydowaliśmy się te płyty wyjąć z powrotem; okazało się, że szafy nie mogło unieść... sześciu ludzi.

Jesienią - to był chyba początek października - 1943 roku prof. Andrzej Tretiak - profesor anglistyki Uniwersytetu Warszawskiego - członek Delegatury Rządu, powiadomił mnie, że w jakiejś bardzo ważnej i poufnej sprawie zgłosi się do mnie łącznik. Po upływie około trzech tygodni zjawił się rzeczywiście jakiś facet, powołał się na prof. Tretiaka i zakomunikował, że przychodzi w sprawie bardzo trudnej i ryzykownej akcji, do której Rząd przywiązuje ogromną wagę i w której - jeśli się zdecyduję - mam wziąć udział. - Niech pan się nad tym zastanowi i jeśli pańska decyzja będzie pozytywna, to proszę zerwać wszystkie dotychczasowe kontakty konspiracyjne, wycofać się ze wszystkich prac dla podziemia i zgłosić do prof. Bryły.

Podał dzień, kiedy mam się zgłosić, i więcej nic. O samej akcji ani słowa; zresztą jak się zorientowałem sam na ten temat nic więcej nie wiedział.

Wyznaczonego dnia poszedłem do prof. Stefana Bryły, do jego gabinetu w gmachu Architektury. Profesor, jak mi się wydawało, był niespokojny, wyraźnie czymś podenerwowany. Rozmowa trwała krótko - powtórzył to, co usłyszałem od łącznika i zapytał, czy jestem zdecydowany. Powiedziałem, że tak, skoro przyszedłem.

- Wobec tego musi pan złożyć przysięgę, niezależnie od tej, którą pan ewentualnie już składał.

Złożyłem więc jeszcze raz przysięgę, ale o akcji znów nie dowiedziałem się niczego więcej. Myślę, że prof. Bryła również nie wiedział, co to za akcja i czego dotyczy. Kazał mi jedynie czekać, nie włączać się do żadnych innych akcji, nie nawiązywać zerwanych kontaktów, być absolutnie "czystym". O szczegółach akcji i moich w niej zadaniach miałem zostać poinformowany "w odpowiednim czasie".

Zaczął się chyba najtrudniejszy okres w mojej konspiracyjnej działalności. Mijały tygodnie, potem miesiące, a o mnie jak gdyby zapomniano. Prof. Bryła został aresztowany w kilka tygodni po tamtym spotkaniu i w dniu 3 grudnia 1943 r. rozstrzelany. Nie bardzo wiedziałem, co robić. Zgodnie z poleceniem trzymałem się z daleka od wszelkich akcji i poprzednich kontaktów. Wiedziałem, że patrzą na mnie podejrzliwie, a ja nie mogłem słowa powiedzieć na swoje usprawiedliwienie.

Ta dość kłopotliwa sytuacja trwała kilka miesięcy, aż gdzieś w połowie maja 1944 r. zjawił się wreszcie łącznik. Powiedział, że w znanej mi sprawie mam się zgłosić... Daty dokładnej nie pamiętam, w każdym razie to miało być w niedzielę pod koniec maja. Określił godzinę, adres (ul. Nowy Zjazd 5), podał, która klatka schodowa, na którym piętrze, które drzwi..."Czystość" lokalu miałem sprawdzić za pomocą tzw. szpilki - wystające z framugi ostrze szpilki oznaczało, że można wejść. Z adresu zorientowałem się, że spotkanie będzie prawdopodobnie w mieszkaniu któregoś z profesorów Uniwersytetu, ponieważ to był ich dom.

W naznaczonej niedzielę o określonej przez łącznika godzinie poszedłem na spotkanie. Odnalazłem dom, klatkę, drzwi - przesunąłem ręką wzdłuż framugi, poczułem, nieco powyżej przycisku dzwonka, delikatnie wystające ostrze szpilki, zapukałem. Ktoś otworzył mi drzwi. W przedpokoju było zupełnie ciemno. Ktoś wziął mój płaszcz, bez słowa zaprowadził do pokoju również zupełnie ciemnego, posadził przy stoliku. Zorientowałem się, że w pokoju jest kilka osób, ale nawzajem nie widzieliśmy się - nikt nic nie mówił. Siedzieliśmy tak kilkanaście minut - co pewien

czas, pojedynczo wchodziły następne osoby, wreszcie zabrał głos prowadzący odprawę. Zorientowałem się, że mówi trzymając chusteczkę przy ustach. Poinformował na wstępie, że siedzimy przy stolikach po czterech, że na stolikach leżą rozdane karty i w razie, gdyby zapaliło się światło, zaczynamy grać w brydża. Poradził, aby zabierając głos mówić przez chusteczkę - dla uniemożliwienia identyfikacji po głosie. W sumie, jak się mogłem zorientować, było nas kilkanaście osób. Domyślałem się również, że odprawa odbyła się w mieszkaniu prof. Tretiaka, który mieszkał w tym domu. Tymczasem prowadzący odprawę przystąpił do omówienia istoty akcji, w której mieliśmy wziąć udział. Po raz pierwszy dowiedziałem się, że tak - jak poprzednio mi sygnalizowano - "ryzykowna i odpowiedzialna akcja" dotyczy niemieckiej broni raketowej.

O tym, że Niemcy prowadzą na terenie Polski próby z bronią raketową już nieco wiedzieliśmy. Pod koniec 1943 r. dochodziły bowiem wiadomości - szczególnie z południowej Polski - o jakichś wyrzucanych, wielkich pociskach. Były to informacje chaotyczne, w kontekście często nieco fantastycznych opowieści. Potwierdzali je sami Niemcy (z którymi nieraz spotykałem się), chełpiący się przy różnych okazjach nową bronią odwetową przygotowywaną jakoby przez Fuhrera, która miała ostatecznie przechylić szalę zwycięstwa na ich stronę. Wiedziałem dość dużo o niemieckich pracach nad bronią raketową prowadzonych przed wojną, ale nie orientowałem się, jak duże mogli, od tamtego czasu, poczynić postępy. Natomiast zupełnym zaskoczeniem było dla mnie to, że Armia Krajowa postanowiła włączyć się do akcji rozszyfrowania tajemnic tej broni. Zdawałem sobie sprawę ze stopnia trudności takiej akcji, a nie znałem sukcesów uzyskiwanych przez polski wywiad w Peenemunde.

Z informacji prowadzącego odprawę wynikało, że wywiad AK ma nadzieję zdobyć w najbliższym czasie pocisk raketowy lub jego część. Zadanie zgromadzonych na odprawie miało się zaczynać od tego właśnie momentu: niektórzy z obecnych zajmą się przygotowaniem pocisku tam, na miejscu jego zdobycia, inni - transportem pocisku do Warszawy, jeszcze inni - badaniem dostarczonego materiału itd. Uzyskane w wyniku badań możliwie wyczerpujące dane techniczne miały być przekazane do odpowiedniej komórki w sztabie Polskich Sił Zbrojnych w Londynie. Na zakończenie, prowadzący odprawę zwrócił się do obecnych o wypowiedzenie się na temat raket w miarę posiadanych ewentualnie wiadomości w tym przedmiocie. Szczególnie chodziło o informacje dotyczące sprawy bezpieczeństwa przy ich demontażu. Rzeczywiście - ktoś zabrał głos, po nim następny... Tymczasem ja, od chwili ujawnienia przez prowadzącego odprawę istoty zadania, zastanawiałem się, czy mam prawo wziąć udział w tej akcji - przy czym wcale nie chodziło o to, że może ona mi zaszkodzić ale, że ja - swoim udziałem - mogę poważnie zagrozić jej powodzeniu. Żeby wyjaśnić moje obawy, muszę się cofnąć do spraw sprzed kilku lat.

W latach 1933-1939 przy II wiceministrze Spraw Wojskowych i szefie Administracji Armii, gen. bryg. inż. Aleksandrze Litwinowiczu, odpowiedzialnym m. in. za przemysł wojenny, został utworzony Tymczasowy Komitet Doradczo-Naukowy (TKDN). Jego przewodniczącym był początkowo prof. Wojciech świętosławski, a następnie prof. Bohdan Stefanowski. Członkami Komitetu byli profesorowie - w kolejności alfabetycznej: Janusz Groszkowski - radiotechnika, Maksymilian Huber - mechanika, Cezary Pawłowski - radiologia, Mieczysław Pożaryski - elektromechanika, Jerzy Roman - maszyny elektryczne, Bohdan Stefanowski - termodynamika, spalanie,

Czesław Witoszyński - aerodynamika, Mieczysław Wolfke - fizyka. W roku 1936 dokooptowano prof. dr. Kazimierza Smoleńskiego - chemika.

System pracy Komitetu był następujący. Każdy problem wnoszony pod obrady Komitetu przez któregoś z jego członków lub władze wojskowe był przekazywany odpowiedniemu specjalistcie do wstępnego opracowania. Na jednym z kolejnych posiedzeń ten członek Komitetu sprawę referował. i kończył. wnioskiem. Po dyskusji TKDN podejmował uchwałę i ewentualnie zlecał przebadanie sprawy jednej lub kilku placówkom specjalistycznym w kraju. Wachlarz omawianych na TKDN problemów był bardzo szeroki - opracowywano m. in. takie zagadnienia jak: kauczuk syntetyczny, promienie śmierci, widzenie w ciemności (noktowizja), sztuczne wytwarzanie wzruszeń psychicznych itp.

Jednym z problemów, którymi zajmował się TKDN w latach 1937-1939, było zagadnienie napędu raketowego w zastosowaniu do pojazdów na ziemi, w wodzie i w powietrzu oraz do przenoszenia ładunków wybuchowych na większe odległości. Nie był to dla nas wówczas już problem zupełnie nowy. W połowie lat trzydziestych Polska była bowiem trzecim - po ZSRR i Niemczech - krajem na świecie, gdzie prowadzono prace nad wykorzystaniem napędu raketowego do wyrzucania dużych mas środków wybuchowych lub trujących na znaczne odległości. Początkowo prowadził je Wojskowy Instytut Techniki Uzbrojenia przy udziale wielu wybitnych specjalistów; ograniczały się one do badań napędu raket paliwem stałym. Wyniki były jednak niezadowolające - pociski raketowe miały wiele wad, a przede wszystkim małą celność.

Zwrócono zatem uwagę na paliwa płynne, w związku z czym zagadnienie silników raketowych zostało wprowadzone na jedno z posiedzeń TKDN w roku 1937. Po zapoznaniu się z wynikami dotychczasowych prac (przedstawionymi przez komendanta Instytutu Techniki Uzbrojenia płk. inż. Stanisława Witkowskiego) i wyczerpującej dyskusji prowadzonej w obecności gen. Litwinowicza, komitet podjął decyzję, aby przedsięwziąć starania w celu uzyskania obszerniejszych informacji o stanie prac nad napędem raketowym w różnych krajach. Równocześnie powołana została specjalna komisja do spraw raketowych.

W ramach realizacji tej uchwały Komitetu prof. Wolfke (mający z okresu studiów i pracy uniwersyteckiej liczne kontakty naukowe w środowisku uczonych niemieckich) udał się w podróż po Europie, m. in. do Niemiec. Plonem tej i w niedługim czasie przedsięwziętej następnej jego podróży, był. obszerny referat przedstawiony na posiedzeniu Komitetu wiosną 1938 r. Referat ten, opracowany na podstawie zdobytej literatury, patentów, rozmów, zwiedzania licznych laboratoriów i fabryk, obrazował. bardzo szczegółowo stan techniki raketowej w Niemczech. Po dyskusji TKDN zlecił. wiele przedsięwzięć. Zalecił. m. in. Wydziałowi Wojskowemu w Państwowym Instytucie Telekomunikacyjnym (PIT), aby w pracach nad urządzeniami telekomunikacyjnymi uwzględnił. sprawy związane z kierowaniem pocisków raketowych. Wydział. ten prowadził bowiem - od pewnego czasu - prace nad urządzeniami do zdalnego sterowania za pomocą fal elektromagnetycznych małych obiektów ruchomych "ziemia-ziemia". Ważnym elementem tych urządzeń było odpowiednie szyfrowanie sygnałów służących do kierowania, jak również uodpornienie urządzenia odbiorczego na niepożądane sygnały. W latach 1936-1937 przeprowadzono w tym zakresie wiele pokazów w niektórych jednostkach dla Głównego Inspektoratu Sił Zbrojnych. Prace te

więzały się z tematem tajnej radiokomunikacji. Zgodnie ze wspomnianym zaleceniem Komitetu, przystąpiliśmy w PIT - niezależnie od prowadzonych prac nad zdalnym kierowaniem łodzią motorową, których wyniki były już zresztą praktycznie demonstrowane władzom wojskowym - do studiów i prac modelowych nad systemami telekomunikacyjnymi przeznaczonymi do kierowania szybkimi obiektami, np. torpedami i samolotami.

Tak więc, gdy prowadzący odprawę ujawnił, że celem akcji ma być rozszyfrowanie tajemnicy niemieckiej broni rakietowej, ogarnęły mnie wątpliwości, czy mogę wziąć w tej akcji udział. Nie miałem bowiem żadnej pewności, że protokoły z ponad 100 posiedzeń TKDN, zawierające tematykę obrad, pełną listę nazwisk jej członków, podające dziedzinę, w której każdy z jego członków i ekspertów działał, nie znalazły się w rękach niemieckich. Gdyby tak było, Niemcom wystarczyłby najmniejszy sygnał. lub choćby tylko podejrzenie, że AK zajmuje się sprawą pocisków V-2, aby wykorzystując dane zawarte w protokołach TKDN trafić do właściwych ludzi - nie miałem wątpliwości, że w takim przypadku zaczęliby od profesorów Politechniki, obecnych w Warszawie. A więc mój udział mógł zagrażać nie tylko powodzeniu akcji, ale i życiu moich kolegów. Z drugiej jednak strony, nie mieściło mi się w głowie, aby Niemcy mając w swoich rękach te protokoły mogli zostawić nas do tej pory w spokoju. Moi koledzy z Komitetu, z którymi rozmawiałem w czasie okupacji na temat TKDN podzielali całkowicie pogląd, że chyba dokumenty te zostały zniszczone. Przecież działalność TKDN objęta była najściślejszą tajemnicą, nie mieliśmy więc wątpliwości, że zapewne wszelkie materiały zostały zniszczone lub bardzo dobrze zabezpieczone w momencie ewakuacji Sztabu. Nie mieliśmy wątpliwości, ale jednak w podświadomości coś tam jeszcze tkwiło.

Wahałem się czy o całej sprawie nie powiedzieć na tym spotkaniu - ale powiedzieć - to znaczyło ujawnić tajemnicę, z zachowania której nikt mnie nie zwolnił, powiedzieć - to znaczyło wtajemniczać wszystkich obecnych, z których każdy mógł się znaleźć kiedyś na Szucha; przygotowaliśmy się przecież do naprawdę niebezpiecznej akcji. Mogłem w ten sposób wywołać popłoch lub narazić wszystkich członków Komitetu na śmiertelne niebezpieczeństwo. Zdecydowałem nie mówić nic i włączyć się do akcji. Odprawa się skończyła, polecono nam czekać na łącznika i pojedynczo, w kilkuminutowych odstępach, opuściliśmy mieszkanie.

W pierwszych dniach czerwca zjawił się u mnie łącznik. Przyniósł wiadomość, że następnego dnia o godzinie 10 rano mam się spotkać na przystanku tramwajowym przy ul. Śniadeckich róg Lwowskiej z osobą, która zaprowadzi mnie do punktu, gdzie czeka "towar". Miałem trzymać pod pachą "Berliner Illustrierte", tamten miał podejść i zapytać "czy tędy chodzi osiemnastka", na co miałem odpowiedzieć "tędy nie chodzi osiemnastka tylko inny numer..." - nie pamiętam jaki miałem wtedy podać. Na drugi dzień poszedłem o dziesiątej na przystanek z gazetą pod pachą. Za chwilę podchodzi jakiś facet, stanął z boku, rozgląda się chwilę, wreszcie pyta - Czy tędy...itd. Odpowiedziałem. Dobrze - mówi - to chodź pan ze mną, tylko jakieś dziesięć kroków z tyłu i w razie czego niech pan daje drapak. Zapytał. jeszcze, czy mam przepustkę do dzielnicy niemieckiej, bo jeśli nie, to on ma dla mnie. Miałem własną.

Poszliśmy Nowowiejską do Placu Zbawiciela i dalej do Placu Unii Lubelskiej, weszliśmy do dzielnicy niemieckiej i doszliśmy do bramy domu przy ul. Skolimowskiej tuż przy Chocimskiej. Widziałem, że cały czas kręcą się przed nim i za mną jacyś

młodzi ludzie. Na Skolimowskiej ich liczba wyraźnie wzrosła. Weszliśmy kuchennymi schodami na drugie piętro - na półpiętrze też mineliśmy młodzieńca, który stał. i gapił się w okno - mój przewodnik zapukał, ktoś otworzył drzwi, mignęła jakaś kobieca postać, ale natychmiast znikła. Mój przewodnik, którym - jak ustaliłem po wojnie na podstawie zdjęć - był. Jerzy Chmielewski, szef Biura Studiów Gospodarczych Oddziału II KG AK i jeden z dwóch głównych organizatorów całej akcji (drugim był. Antoni Kocjan - znany konstruktor szybowców) pokazał mi dwie skrzynki z aluminiowej blachy. Były w nich urządzenia, które miałem właśnie zbadać. Każda skrzynka ważyła ok. 10 kg i miała wymiary 37x26x15 cm. W jednej znajdowało się urządzenie radiowe nadawczo-odbiorcze, w drugiej - urządzenie elektroniczne do sterowania rakieta. Obejrzałem je wstępnie, powiedziałem co mi będzie potrzebne - nie mogłem przynosić przyrządów z Politechniki ze względu na łatwość identyfikacji po numerach w razie wyspy. Chmielewski obiecał dostarczyć aparaturę następnego dnia, powiedział, że mogę tu pracować od dziesiątej do pierwszej, przez tyle dni, ile mi będzie trzeba. Tego dnia pracowałem do pierwszej.

Następnego dnia przyszedłem już sam. Po drodze znów widziałem kręcących się młodzieńców z obstawy. Drzwi otworzyła mi tym razem kobieta, co zresztą później bardzo zdenerwowało Chmielewskiego - okazało się bowiem, że ona nie miała prawa mnie widzieć. Moim "kontaktem" był. jedynie Chmielewski i łącznik. Potem jednak rozmawiałem z nią kilkakrotnie - była wtajemniczona, pracowała od dawna dla AK, była gospodynią u polskiego oficera-lotnika i po jego wyjeździe z kraju w 1939 r. opiekowała się mieszkaniem. Mieszkanie to zostało przydzielone podczas okupacji niemieckiemu oficerowi pracującemu na lotnisku, ale ją zostawiono w spokoju i zdobyła nawet zaufanie Niemca. Skrzynki z aparaturą przechowywała w walizkach wraz z jego rzeczami, na pawlaczu. Oficer wychodził rano i wracał. około piątej, ale na wszelki wypadek dzwoniła do niego pod różnymi pretekstami, aby upewnić się przy okazji, czy nie ma zamiaru wrócić wcześniej. Gdyby i ten system bezpieczeństwa zawiodł, pozostawały jeszcze czujki przed domem, które - w razie jego powrotu - miały nas zawiadomić. Wówczas on wchodziłby głównymi schodami, a ja bym wychodził kuchennymi.

Te wszystkie szczegóły były dość wiernie oddane w filmie telewizyjnym o akcji V-2. Natomiast akcja filmu jest zupełnie niezgodna z rzeczywistością we fragmentach dotyczących kontrakcji niemieckiej. Nie było żadnej kontrakcji Niemców. Nawet do głowy im nie przyszło, że AK zdobyło pocisk raketowy, że w ogóle w sposób zorganizowany dąży do zdobycia informacji na temat tej broni. Gdyby wiedzieli, albo mieli choć cień podejrzenia - spowodowałyby to błyskawiczną i wściekłą kontrakcję całego aparatu bezpieczeństwa Rzeszy. Potwierdzenie tego, że Niemcy nie mieli pojęcia o tej akcji polskiego podziemia, otrzymałem ze strony samego von Brauna - jednego z głównych konstruktorów rakiety. Spotkaliśmy się w 1973 roku na przyjęciu w ambasadzie RFN w Waszyngtonie. Oczywiście rozmawialiśmy również o V-2. Znal doskonale sprawę rozszyfrowania tajemnicy tej broni, pisząc bowiem swoje pamiętniki "Mein Leben fur die Raumfahrt" niewątpliwie sięgnął do dokumentów znajdujących się w którymś z archiwów brytyjskich. Powiedział, że największym zaskoczeniem był dla niego tak wielki udział Polaków w całej tej sprawie, oraz trafność naszych sugestii przedstawionych przecież na podstawie bardzo fragmentarycznych badań. Badałem oczywiście pewien niewielki wycinek całości, część elektroniczną i radiową. Inni badali różne inne zespoły. Np. prof. Marcelli Struszyński - chemik, badał. czynnik napędowy.

Do napędu rakiety V-2 Niemcy w pewnym okresie używali spirytusu oraz - jako utleniacza - wody utlenionej o nieznanym wówczas (a chyba i dziś trudnym do osiągnięcia) stopniu stężenia - dziewięćdziesięciu kilku procent. Trochę tej gęstej i bardzo żrącej cieczy zachowało się w rakiecie i właśnie zostało poddane badaniom. Badano ponadto system dysz, rodzaj użytych do ich wykonania materiałów itd. Oczywiście w tym okresie nic o sobie nawzajem nie wiedzieliśmy.

Swoje badania prowadziłem głównie tam na Skolimowskiej. Jedynie niektóre, małe elementy wymontowywałem i przynosiłem do Politechniki. W wyjątkowych przypadkach - gdy do badania potrzebna była aparatura, której nie było na Politechnice (np. do określenia parametrów płytki oscylatora kwarcowego), prosiłem kogoś zaufanego, kto miał dostęp do takiej aparatury, o zbadanie elementu, nie informując oczywiście, skąd pochodzi. Wymontowanych elementów nie wolno było ani zachować, ani niszczyć na własną rękę. Chodziło o to, aby przez przypadek nie zostały zidentyfikowane przez Niemców. Były bowiem szczegółowo oznakowane, a poza tym na tyle unikalne, że mogłoby się dojść skąd pochodzą. Wymontowywane elementy metalowe miałem obowiązek przekazywać określonej osobie z zakładu metalurgicznego na Politechnice, gdzie poddawano je stopieniu.

Przede wszystkim zająłem się badaniem oscylatorów kwarcowych oraz układów generacyjnych, aby określić częstotliwości urządzeń radiowych. Ustalenie tych danych mogło bowiem ułatwić zakłócenie kierowania lotem pocisku lub nadawanych do niego rozkazów. W dalszej kolejności, na podstawie tego, co mogłem zbadać, starałem się zrekonstruować schematy urządzeń sterowniczych i radiowych i koncepcję ich działania.

Trzeba przyznać, że urządzenia - jakbyśmy to dziś powiedzieli - elektroniczne, były najwyższej jakości, wykonane znakomicie, w wysokim stopniu - jak na ówczesny poziom techniki - zminiaturyzowane. Badania wraz z przygotowaniem schematów i opisu, zawierającego m. in. sugestie co do przeznaczenia różnych elementów, trwały ok. 10 dni. Potem przekazałem cały ten materiał z referatem i na tym skończył się mój udział.

W całości historię akcji V-2 poznałem dopiero po wojnie. Wiem, że materiały pisemne, które przekazałem, były następnie przewożone na dnie wózków dziecięcych, że meldunki do Londynu szły najpierw drogą radiową i przez kurierów w postaci mikrofilmów, a następnie już kompletny materiał już z częściami V-2 poleciał samolotem Dakota spod Tarnowa przez Brindisi. Konwojował tę przesyłkę J. Chmielewski. Pułkownik angielski Jones, który podczas wojny był koordynatorem wszystkich prac wojskowych dotyczących najnowszych technik, w swojej książce o V-2, w której zresztą oddaje Chmielewskiemu należną cześć, pisze o jego przyjeździe do Londynu z właściwym Anglikowi poczuciem humoru. Opisuje jak ten, po wylądowaniu, siedział na worku z częściami rakiety, z otwartym scyzorykiem w ręku, nie pozwalając Anglikom nawet się zbliżyć; siedział tak kilka godzin, dopóki nie zjawił się po przesyłkę polski pułkownik ze Sztabu.

Trzeba przyznać, że cała akcja była przez podziemie polskie doskonale zorganizowana, że ci którzy ją organizowali, byli naprawdę fantastycznymi ludźmi. My, którzyśmy prowadzili badania w warunkach kameralnych - mieliśmy wszystko przygotowane, byliśmy ubezpieczeni, ale ci, którzy wykradali raketę tam, nad Bugiem, wieźli ją do Warszawy, przechowywali, ukrywali, przenosili - ryzykowali w każdej chwili

bezpośrednio życiem. To wymagało niebywałej odwagi i naprawdę stalowych nerwów; zachowałem dla nich najwyższy szacunek.

Jakie znaczenie miała ta akcja - czym myśmy się przyczynili? Nie wiem czy jej wyniki miały jakieś większe praktyczne znaczenie przy zwalczaniu rakiet V-2; wydaje mi się, że nie. Natomiast miała ona, moim zdaniem, wielkie znaczenie moralne, psychologiczne; bron raketowa, dzięki niej, przestała być tajemnicza, a przez to stała się mniej groźna. Ludzie dowiedzieli się, że alianckie sztaby ją znają, wiedzą, jak działa, a zatem wcześniej czy później znajdą na nią sposób. Dlatego, jeśli chodzi o moją konspiracyjną pracę, to uważam, że znacznie większe praktyczne znaczenie miało to wszystko, co robiłem przed rozpoczęciem akcji V-2, ta mało efektowna praca, jaką wykonywałem na rzecz Delegatury i AK od przyjazdu ze Lwowa do jesieni 1943 roku.

Na zakończenie powrócę jeszcze raz do sprawy mojej pracy w Tymczasowym Komitecie Doradczo-Naukowym. Po wojnie wydawało mi się, że sprawa ta poszła na zawsze w zapomnienie. Nie wspominałem o niej nigdy - myślałem że akt nie ma, a mnie obowiązywała tajemnica. Tymczasem, pod koniec lat sześćdziesiątych (czy na początku siedemdziesiątych), zgłosił się do mnie red. Leszek Komuda z artykułem dotyczącym niektórych prac związanych z techniką wojskową, prowadzonych w Polsce w okresie międzywojennym. Zacząłem czytać i z największym zdumieniem znajdować w nim informacje zaczerpnięte bez wątpienia z protokołów TKDN. Pytam - skąd pan je wziął? Znalazłem w archiwum! - Oczywiście natychmiast zainteresowałem się sprawą losów wspomnianych protokołów. Okazało się, że te materiały, które nas, członków TKDN wobec Niemców w najwyższym stopniu kompromitowały, stanowiące gotowy wyrok śmierci dla wszystkich obecnych w kraju członków TKDN - przez cały okres wojny i okupacji znajdowały się w rękach niemieckich.

Razem z wieloma innymi dokumentami z archiwów wojskowych zostały, po zajęciu Warszawy, wywiezione przez Niemców gdzieś na Wybrzeże, o ile dobrze wiem - do Oliwy i tam złożone w podziemiach klasztoru. Aż do chwili kapitulacji Niemiec, pracowało przy ich segregowaniu kilku wojskowych i cywilnych urzędników niemieckich. To, co uporządkowano, przekazywano do wykorzystania odpowiednim jednostkom policyjnym i wojskowym. Na szczęście dla nas praca ta szła dość wolno - być może zatrudnieni przy niej Niemcy uznali ją za tak wygodną, że starali się by trwała jak najdłużej. W każdym razie do odkrycia protokołów nie doszło. Gdyby to się stało, zmieniłoby niewątpliwie cała moją i moich kolegów z TKDN okupacyjną historię.

Sześćdziesiąt sześć lat

Jest to interwał czasowy obejmujący aktywną działalność co najmniej dwóch ludzi. Jest to jednocześnie czas, jaki upłynął od powstania II Rzeczypospolitej aż do chwili obecnej - roku czterdziestolecia Polski Ludowej. Jest to czas niezwykle aktywnego i owocnego dla kraju życia jednego człowieka Profesora JANUSZA GROSZKOWSKIEGO. Artykuł wspomnieniowy, który drukujemy poniżej nie jest ani biografią Profesora, ani ścisłą kroniką rozwoju polskiej elektroniki, w którym osobisty udział Profesora trudno byłoby przecenić. Autor artykułu (znany dobrze czytelnikom PT) miał, jak sam oświadcza, szczęście zetknąć się, na gruncie służbowym, z wielkim Polakiem i Uczonym już w 1954 r., a w ciągu ostatnich dziesięciu lat należał do nielicznego grona osób, które Profesor dążył osobistym zaufaniem. Wspomnienia mają więc charakter osobisty, a ponadto rzucają nowe światło tak na sylwetkę wybitnego Polaka, jak i na Jego osobisty wkład w dzieło budowy najwyższej wartości, jaką jest Polska.

Pierwsze lata po odzyskaniu niepodległości Polski w 1918 r. zastały inż. Janusza Groszkowskiego w wojsku, które w przyspieszonym tempie musiało tworzyć służby techniczne. Oficer wojsk łączności por. inż. Janusz Groszkowski brał udział w kampanii wojennej 1919-1920, a po zakończeniu wojny pozostał jeszcze kilka lat w korpusie technicznym oficerów tych wojsk. Wojsko, w tamtym okresie nie stwarzało właściwych ram do rozwoju dla młodego inżyniera o pionierskim zacięciu badacza naukowego. We wspomnieniach Profesora z okresu Jego kariery wojskowej dominują raczej dowcipy i opowieści autentyczne, również z humorystycznym wydźwiękiem. Po jednym z wykładów, jakie odbywał por. inż. Janusz Groszkowski dla kadry dowódczej ówczesnego WP na temat łączności radiowej w wojsku, zabrał głos jeden z generałów, rodem z byłej armii cesarsko-królewskiej gratulując prelegentowi jasności i precyzji prelekcji. Na zakończenie swego wystąpienia ów zacny generał dodał jednak: niech mi pan porucznik nie ma za złe próby małej korekty pięknego naprawdę wykładu. Pan wspominał kilkakrotnie o kilowatach. Mam wrażenie, że chodziło panu o Kolowrathów. Von Kolowrath to stara i bardzo dobra rodzina, a pan porucznik jako pochodzący z Kongresówki zapewne ich nie znalazł i stąd te "kilowaty".

Przytoczona humorystyczna opowiadka wyjaśnia, dlaczego inż. Groszkowski nie miał wiele do szukania w wojsku. Nie oznacza to jednak, że zmarnował tam czas. Już w 1925 r. ukazuje się drukiem Jego monografia "Lampy katodowe oraz ich zastosowania w radiotechnice", którą opracował w czasie służby w WP. Przypomnijmy, że Lee de Forest wynalazł "audion" (pierwszą triodę) w 1906 r. a w 1925 r. nie było jeszcze w świecie syntetycznej monografii o tak szerokim zakresie. Pod pojęciem "zastosowania" kryło się przecież kompendium ówczesnej wiedzy radiotechnicznej. Inż. Groszkowski ujawnił się jako pionier i takim pozostał do ostatnich swoich dni.

Z Politechniką Warszawską inż. Groszkowski związał się wcześniej i żyją jeszcze Jego uczniowie, pamiętający wykładowcę, szczupłego, energicznego oficera, którego wykłady odznaczały się klarownością a wykładowca był do nich doskonale przygotowany. W 1929 r. zostaje profesorem tej uczelni (w 1932 r. - profesorem zwyczajnym). Jest to kariera olśniewająca jak na owe czasy i nie tylko. Lata trzydzieste

to okres świetności polskiej elektroniki w sensie bezpośredniego kontaktu z czołówką światową w zakresie badań naukowych, a jest to osobistą zasługą Profesora Janusza Groszkowskiego. Najbardziej znaną jest w tym względzie opublikowana w 1932 r. praca "Zmiany częstotliwości a zawartość harmonicznych w układach oscylacyjnych". Była to praca iście pionierska zważywszy, że dopiero 20 lat później relacje "mocowo-częstotliwościowe" stały się przedmiotem analizy badaczy amerykańskich Manley'a i Rowe'a. Wywód Groszkowskiego "równowagi mocy urojonych harmonicznych" pozostaje jednak do dziś wywodem wzorcowym. W wieloletnich dyskusjach, jakie wywiązały się po publikacji pracy Manley'a i Rowe'a, wysuwano najrozmaitsze argumenty na obronę takiej, a nie innej hipotezy konstytutywnej, warunkującej określony sens fizyczny relacji "moc-częstotliwość". W podsumowaniu dyskusji, jakiej dokonał David Penfield (Jr) już w późnych latach sześćdziesiątych pojawiła się koncepcja, iż wszystkie rodzaje relacji modowo-częstotliwościowych mają wspólne źródło we własnościach systemów, w których zachodzą procesy termodynamiczne nieodwracalne. Na tym właśnie polegała istota oryginalnego wywodu Groszkowskiego, jakkolwiek odkrywca relacji nie użył nigdzie wprost pojęcia "termodynamika nieodwracalnych procesów", ani nie analizował kierunku wzrostu entropii.

Z lat trzydziestych pochodzą ożywione kontakty Groszkowskiego z najwybitniejszymi w tym czasie badaczami z zakresu teorii nieliniowych drgań, a zwłaszcza - ze słynnym Balthazarem Van der Poolem. Groszkowski był autorem polskim najczęściej cytowanym za granicami naszego kraju. Biorąc pod uwagę lawinowy wzrost piśmiennictwa w świecie, odpowiadałoby to liczbie cytowana zagranicznych rzędu 1000/rok, czego nikt wśród polskich adeptów nauk ścisłych do dziś nie osiągnął.

Praca "O cieplnym współczynniku rozszerzalności cewek", opublikowana w 1955 r. czyni z pozoru wrażenie pracy skromnej, o charakterze małego przyczynku. W rzeczywistości była to praca fundamentalna, z której korzystano przez następne 30 lat, lecz głównie... za granicą. Pamiętam uwagę, jaką wypowiedział znany specjalista radziecki z zakresu generatorów częstotliwości prof. Szytikow, zaproszony do Polski w 1960 r. na konsultacje w dziedzinie wysokostabilnych generatorów. W trakcie zaawansowanego seminarium (bez udziału prof. Groszkowskiego) Szytikow nagle zauważył: "Szanowni towarzysze mają trudności w rozumieniu tego, co mówię, ale prawdopodobnie nie czytaliście pracy waszego profesora Groszkowskiego". Prace z zakresu teorii obwodów nieliniowych, a szczególnie - generacji drgań nie wyczerpywały aktywności badawczej prof. Groszkowskiego w okresie międzywojennym. Równolegle inicjował i sam prowadził prace w dziedzinie technologii i konstrukcji lamp elektronowych. W ostatnich latach przed wybuchem wojny wspólnie ze swoim asystentem dr. Ryżką (późniejszym profesorem PW) prowadził zaawansowane badania magnetronów, nowoczesnych (wówczas) lamp generacyjnych mikrofalowych. Były to również prace pionierskie, jedne z pierwszych w skali światowej. W tym samym czasie zajmował się Profesor z grupą współpracowników badaniami nad technologią wysokiej próżni, o fundamentalnym znaczeniu dla ówczesnej technologii elektronowej i nieprzemijającym znaczeniu do dziś.

Niespełna 30-letni doktor nauk technicznych (jeszcze nie profesor) Groszkowski należał do inicjatorów powołania w 1928 r. Instytutu Radiotechnicznego w Warszawie, przekształconego w 1932 r. w Państwowy Instytut Telekomunikacji. Groszkowski był duszą PIT, który przeżywał wówczas lata świetności. Prace organizatorskie łączył prof.

Groszkowski z pracą dydaktyczną i badaniami naukowymi. Nie słyszałem nigdy od jego współpracowników, by kiedykolwiek narzekał na "przeciążenie" czynnościami administracyjnymi. Nie było wykryte jeszcze wówczas prawo Parkinsona, a ówcześni urzędnicy sami nie mogli zapewne wpaść na pomysł, jak skutecznie "uziemić" badaczy biurokratyczną mitręgą.

Sam Profesor chętnie zabierał głos na ten temat w kolejnych latach powojennych, przyglądając się rozwojowi Politechniki Warszawskiej. Ostatniego obliczenia dokonał w 1974 r. zauważając, że wprawdzie liczba studentów wzrosła (wliczając w to filie) 10 razy, lecz personel administracyjny zwiększył się ponad 90-krotnie!

Wkład prof. Groszkowskiego w walkę z okupantem jest powszechnie znany i opisywany. Rozszyfrowanie tajemnicy elektronicznego systemu rakiet V-2 przeszło już w sposób trwały do historii polskiego ruchu oporu. Był to jednak fragment całej działalności Profesora i innych (często bezimiennych) bojowników, którzy systematycznie z narażeniem życia pracowali nad zaopatrzeniem Polski Podziemnej w sprzęt łączności. Sam Profesor opowiadał o tym niechętnie, wspominając jedynie humorystyczne akcenty zdarzeń jak np. przesuwanie przed niemiecką rewizją ciężkich szaf w tempie przyspieszonym, szaf, których po ustaniu zagrożenia nie były w stanie ruszyć z miejsca znacznie liczniejsze zespoły ludzkie.

Pierwsze lata powojenne to okres ciężkich doświadczeń osobistych Profesora. Uderza w niego fala naukowego hunwejbizmu, którą skutecznie generuje nowo kreowany "luminarz" elektroniki (w 1939 r. jeszcze niedoszły absolwent politechniki pracujący na stanowisku starszego technika w zakładach "Elektrit" w Wilnie). Operuje się hasłami pseudopolitycznymi (przedwojenny oficer) i pseudonaukowymi (potrzeba nam podzespołów i sprzętu, a nie teorii). Znajduje się jednak skuteczna osłona w osobach oficerów radzieckich, specjalistów w dziedzinie łączności, pełniących w pierwszych po wojnie latach funkcje w służbach technicznych WP. Pułkownicy Kuzniecowa i Isajewa (ten ostatni - jeden ze współorganizatorów Wojskowej Akademii Technicznej) nie mieli wątpliwości, co do walorów obu antagonistów i wspomniany "luminarz" musiał przenieść się do Gdańska, a Profesor szczęśliwie pozostał w Warszawie.

Przeżycia tych lat nie pozostały jednak bez śladu. W 1947 r. ukazuje się drukiem monografia Groszkowskiego "Generacja i stabilizacja częstotliwości", a później jej kolejne wydania, tłumaczone na obce języki, w tym - na język rosyjski. Jest to jednak podsumowanie wcześniejszych prac i przemyśleń. Wspominając o tych wydarzeniach Profesor powiedział mi z żalem: "właściwie nigdy już później nie wróciłem do tematyki z dziedziny teorii obwodów i zająłem się wyłącznie technologią". Wyrazem tego zaangażowania była zwłaszcza monografia "Technologia wysokiej próżni" (1953), która doczekała się wielu wydań nie tylko krajowych. W latach pięćdziesiątych Profesor prowadził jeszcze badania nad lampami mikrofalowymi, a szczególnie - lampami z falą bieżącą.

W 1951 r. zorganizowany został z inicjatywy Profesora Zakład Elektroniki w Instytucie Podstawowych Problemów Techniki PAN. Zakład podjął problematykę badawczą, pionierską w skali krajowej i europejskiej, jaką była problematyka technologii elementów półprzewodnikowych. Warto przypomnieć, że w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych znajdowaliśmy się w czołówce, jeśli chodzi o kraje

socjalistyczne. Reprezentowaliśmy nieporównanie wyższy poziom w dziedzinie półprzewodników niż CSRS czy NRD. Zakład Elektroniki IPPT PAN przekształcił się w końcu lat sześćdziesiątych w Instytut Technologii Elektronowej, a następnie wszedł w skład obecnie działającego Naukowo-Produkcyjnego Centrum Półprzewodników i Mikroelektroniki (CEMI), w organizacji którego brał Profesor aktywny, inicjatorski udział. Również przedwojenny (wspomniany już wyżej) PIT "wypączkował" już w Polsce Ludowej dwa inne instytuty: Przemysłowy Instytut Telekomunikacji oraz Instytut Tele- i Radiotechniczny (ten ostatni mieści się jeszcze częściowo w starym gmachu PIT).

Członek PAN od 1952 r., był Profesorem jej wiceprezesem od 1957 i od 1962 przez kilka kadencji prezesem. Nie zaniedbywał jednak nigdy pracy naukowej ani dydaktycznej. Na wykładach jego był zawsze komplet, a przychodzili nie tylko studenci. Pisałem już o rzadkiej sztuce przekazywania wiadomości, jaką odznaczał się do ostatnich swoich chwil Zmarły. Była to przede wszystkim sztuka, wynikająca chyba z daru jasnego myślenia. Lubił wykładać dobrze i jasno, a cierpiał słuchając rozpleniającego się ostatnio niepomnie naukowego bełkotu. Był zbyt delikatny, by komukolwiek zwrócić uwagę, lecz w stan rozdrażnienia wprawiały Go szczególnie naukowe gryzmoły, niektórych autorów Archiwum Elektroniki, którego to czasopisma był wieloletnim redaktorem naczelnym. Zawsze życzliwy dla wszystkich, a szczególnie mający zawsze czas dla młodszych kolegów, nigdy nie pozwolił nikomu odczuć dystansu, jaki dzielił Go zarówno od niedopierzonych adeptów nauki, jak i - utytułowanych lecz dla nauki niezbyt zasłużonych, garnęli się więc do Profesora wszyscy.

W latach siedemdziesiątych był Profesorem posłem do Sejmu PRL, wiceprzewodniczącym Rady Państwa i przewodniczącym Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Jedności Narodu. Sprawom elektroniki poświęcał już mniej czasu. Codziennie jednak prowadził eksperymenty w swoim małym laboratorium w PW, pisał, dyskutował, doradzał wszystkim, którzy po radę i opinię zgłaszali się. W 1976 r. zrezygnował Profesor ze wszystkich funkcji państwowych i społecznych "na znak protestu przeciw łamaniu praworządności w PRL". Sprawa ta wymaga specjalnego omówienia, ponieważ propaganda zagranicznych ośrodków dywersyjnych nadała rezygnacji Profesora rangę protestu przeciw ustrojowi socjalistycznemu. W rzeczywistości chodziło o walkę z naukowym hochsztaplerstwem w obronie niesłusznie skrzywdzonych ludzi.

Dziś, kiedy masowy protest klasy robotniczej przeciw naruszaniu zasad socjalizmu zaowocował w postaci nowej polityki i nowego ducha działania w skali całego państwa, należy jeszcze raz podkreślić pionierską postawę Profesora. W uchwale Zgromadzenia Ogólnego PAN z października 1980 r. można było wyczytać o "podziękowaniu dla Profesora Janusza Groszkowskiego za jego niezłomną, samotną walkę o moralność w nauce polskiej". Był Profesor Groszkowski rzeczywiście osamotniony w tej walce. Nie znalazł sojuszników wśród tzw. opozycji liberalno-demokratycznej. Nie było chętnych, bo zapewne nie dawały profitu politycznego "na eksport" podkreślenia Profesora, że chodzi mu o ciągłość Państwa Polskiego, że Polska musi być silna praworządnością.

Profesor pracował do ostatnich dni. W ostatnich miesiącach ukończył "Encyklopedię życia codziennego". Dyskutował na temat poszczególnych haseł z taką

samą wnikliwością, z jaką traktował najpoważniejsze tematy naukowe. W czasie kameralnego obchodu 86 rocznicy urodzin w małym gronie osób nie chciał przyjmować życzeń "100 lat" uważając, że żyje już "na zapas". Dodał jednak: "muszę jeszcze trochę pożyć, by zobaczyć, co będzie później". Sypał dowcipami i opowieściami ze swojego życia. Pesymizmem napawał Go jednak marazm w nauce "co to za nauka w kraju, w którym kupiono licencję na klej do znaczków pocztowych". Do ostatniej chwili działał aktywnie w Polskim Towarzystwie Synergetycznym, którego był współzałożycielem i Prezesem Honorowym kierując Komitetem Naukowym PTS. Gdy udawał się 10.06. br. do lecznicy na przebadanie, nie spodziewaliśmy się, że nie ujrzymy Go już w gronie żywych. "W intencji obrony praw mego kraju..."

- to pierwsze słowa listu, jaki w dniu 18 lutego 1976 r. skierował prof. dr inż. Janusz Groszkowski - wówczas poseł na Sejm i zastępca przewodniczącego Rady Państwa do marszałka Sejmu PRL, zawiadamiając go o swojej rezygnacji z tych wysokich funkcji państwowych. Tymi słowami zacytował redaktor Henryk Nakielski swój kilkuodcinkowy artykuł przedstawiający całą historię sprawy, której jednym z elementów była tamta dramatyczna decyzja. Sprawa ta, rozpoczęta w 1964 r. ciągnie się do dziś. Przez wiele lat bulwersowała środowisko naukowe, była szeroko komentowana, również poza tym środowiskiem.

W gruncie rzeczy jest to artykuł o etyce, o moralności, o postawach, o sprawiedliwości.

"Nagrody Państwowe" - przypominało "życie Warszawy" 17 lipca 1980 r. - najwyższy wyraz uznania ojczyzny dla najwybitniejszych twórców wiedzy, techniki i kultury, którzy wnieśli największy wkład w dorobek gospodarczy, naukowy i kulturalny kraju, przyznawane są co dwa lata".

Uroczystość wręczenia Nagród Państwowych w roku 1980 miała godną oprawę. Korespondenci PAP relacjonowali: - "Pałac Rady Ministrów w Warszawie, w którym 16 bm. odbywa się uroczystość wręczenia Nagród Państwowych. Przybywają: I Sekretarz KC PZPR Edward Gierek, przewodniczący Rady Państwa Henryk Jabłoński i prezes Rady Ministrów Edward Babiuch oraz prezes NK ZSL Stanisław Gucwa, przewodniczący CK SD Tadeusz W. Młyńczak, członkowie Biura Politycznego i Sekretariatu KC PZPR ... Zebranych powitał w imieniu Komitetu Nagród Państwowych zastępca przewodniczącego Komitetu, sekretarz naukowy PAN, prof. Jan Kaczmarek..."

Nie wiem, czy ktoś z czytających tę relację, powieloną nazajutrz w tysiącach egzemplarzy, wybitą na czołówkach dzienników, zwrócił uwagę na pozornie mało istotny szczegół - na to, że najwyższych dostojników państwowych i partyjnych przybyłych na tę uroczystość, aby swoją obecnością nadać jej rangę najwyższą, witał nie przewodniczący Komitetu Nagród Państwowych, lecz jego zastępca. W przypadku oficjalnych uroczystości jest to przecież nie tak mało istotne uchybienie protokołu. Czyżby przewodniczącego Komitetu nie było wówczas w reprezentacyjnej sali Urzędu Rady Ministrów? Dalszy ciąg relacji zda się to przypuszczenie potwierdzać - nazwisko przewodniczącego KNP nie pada w niej ani razu, choć sprawa ta nie znajduje żadnego w niej wyjaśnienia, w najmniejszym stopniu nie ma podniosłego tonu dziennikarskiego sprawozdania.

Nieobecność przewodniczącego Komitetu Nagród Państwowych na uroczystości wręczenia Nagród, uroczystości stanowiącej ukoronowanie prac komitetu, niemalże

sens jego istnienia, nie zamącała również samej uroczystości przebiegającej gładko, jak dobrze wyreżyserowany spektakl. I tylko niektórzy z obecnych na sali rozumieli jej znaczenie, zdawali sobie sprawę, że jest ona zgrzytem w tym podniosłym momencie symbolicznego hołdu składanego przez społeczeństwo za pośrednictwem swych przywódców twórcom narodowej kultury i nauki. Tym nieprzyjemniej brzmiącym, że człowiekiem, który nie przybył, choć z racji pełnionej funkcji powinien odegrać rolę współgospodarza tej uroczystości, był uczony cieszący się niepodważalnym w środowisku naukowym autorytetem, przez wiele lat przewodzący temu środowisku. Wiedzieli o tym przede wszystkim obecni na sali członkowie Komitetu Nagród Państwowych. Ich bowiem, w pierwszej kolejności, informował o swojej decyzji prof. dr Janusz Groszkowski. W liście skierowanym do członków Prezydium Komitetu 20 marca 1980 r. pisał: - "W związku z ponowną akcją zniesławiania mnie przez kilkakrotnie karanego przestępcę Tibora Petrysa - zawieszam pełnienie funkcji przewodniczącego Komitetu Nagród Państwowych do czasu ukończenia postępowania przez właściwe organa wymiaru sprawiedliwości".

Wyjaśniając motywy swojej decyzji, informował: - "Jako przewodniczący KNP zwróciłem się w dniu 29 stycznia 1980 r. do Premiera P. Jaroszewicza, którego to Urzędowi podlega Komitet, komunikując o ponownej akcji zniesławiania mnie przez ukaranego już za to sądownie Tibora Petrysa i prosząc o zajęcie stanowiska w tej sprawie. W dniu 19 lutego 1980 r. ponowiłem swe wystąpienie do Premiera E. Babiucha, na co w dniu 13 marca 1980 r. otrzymałem od Dyrektora Gabinetu Prezesa Rady Ministrów odpowiedź, iż moje pismo do Premiera zostało przekazane Prokuratorowi Generalnemu PRL. Ze sposobu załatwienia mojej sprawy mam prawo wyciągnąć wniosek, iż do czasu wyjaśnienia postawionych mi zarzutów, które od 15 miesięcy były znane naczelnym władzom partyjnym i państwowym, powinienem powstrzymać się od jakichkolwiek działań w Komitecie Nagród Państwowych. Przewodniczenie Komitetowi Nagród Państwowych uważam za funkcję zaszczytną ale i odpowiedzialną. Ani na Komitecie, ani na jego przewodniczącym (lub którymkolwiek z członków) nie może ciążyć zarzut nieetycznego postępowania, jaki mi postawiono. Bez jego obalenia we właściwym do tego trybie nie wolno mi działać, tego bowiem wymaga choćby szacunek dla Laureatów Nagród Państwowych, które KNP przyznaje".

W odpowiedzi na decyzję prof. Groszkowskiego Sekcja Literatury Komitetu Nagród Państwowych, obradująca pod przewodnictwem prof. dr Janiny Kulczyckiej-Saloni, na posiedzeniu w dniu 1 kwietnia podejmuje uchwałę, w której: - "Członkowie Sekcji po dyskusji i rozważeniu sprawy, solidaryzują się ze stanowiskiem prof. dr Janusza Groszkowskiego i postanowili wstrzymać prace Sekcji Literatury do czasu wyjaśnienia sprawy."

W kilka dni później delegacja członków Prezydium Komitetu Nagród Państwowych przekazuje na ręce Profesora list, w którym pisze m. in. - "Członkowie Prezydium Komitetu pragną zapewnić Pana, że żadne wystąpienia ze strony Petrysa nie mogą w najmniejszym stopniu zachwiać naszym szacunkiem i zaufaniem do Pana Profesora, ani też rzucić w oczach opinii społecznej cienia na Jego autorytet i godność moralną. W przekonaniu więc, że kompetentne organy wymiaru sprawiedliwości postępuwać będą tak, jak nakazuje im prawo, członkowie Prezydium Komitetu wyrażają sympatię i szacunek oraz pełne zaufanie dla Pana Profesora i zwracają się z gorącą prośbą o dalsze normalne kierowanie pracami naszego Komitetu." List podpisany jest przez zastępcę przewodniczącego KNP prof. Jana Kaczmarka oraz

członków Prezydium Komitetu: prof. prof. Jerzego Bukowskiego, Witolda Nowackiego, Stefana Pietrusiewicza, Kazimierza Secomskiego, Dionizego Smoleńskiego,

Jana Szczepańskiego i Andrzeja Werblana. W niespełna tydzień potem prof. Groszkowski otrzymuje list od ministra nauki, szkolnictwa wyższego i techniki. - "Moja nieobecność w kraju - pisze w nim prof. Janusz Górski, uniemożliwiła mi podpisanie listu skierowanego do Pana Profesora w dniu 9 bm. przez Prezydium Komitetu Nagród Państwowych. Chciałbym zatem stwierdzić, że w pełni solidaryzuję się z treścią tego listu." Za wyrazy szacunku, zaufania i sympatii prof. Groszkowski serdecznie autorom listów podziękował, Sekcję Literatury prosił o ponowne podjęcie pracy, ale własnej decyzji nie zmienił. - "Intencją zawieszenia mej funkcji w Komitecie - pisał w liście do członków Prezydium KNP - była przede wszystkim sprawa autorytetu Komitetu, którego - powołany przez Prezesa Rady Ministrów dekretem z dnia 12.II.1979 r. - mam zaszczyt być Przewodniczącym. Ceniąc jak najwyżej opinię Szanownych i Drogich Panów Kolegów nie mogę nie liczyć się ze stroną formalną, jaka powinna istnieć między Komitetem a Urzędem, któremu podlega. A pod tym względem - od czasu zawieszenia mej funkcji - nic się dotąd nie wydarzyło." List nosi datę 16 kwietnia 1980 r. Ponieważ we wzmiankowanej sprawie między Komitetem a Urzędem, któremu tenże Komitet podlega "nic się nie wydarzyło" również w następnych tygodniach i miesiącach, Profesor nie podjął działalności przewodniczącego KNP i stąd jego nieobecność na uroczystości wręczenia Nagród w dniu 16 lipca.

Kim jest człowiek, którego działalność doprowadziła w konsekwencji do tej dramatycznej decyzji przewodniczącego KNP, którego nazwisko stało się przekleństwem ostatnich kilkunastu lat życia Profesora (i nie tylko Profesora) - kim jest Tibor Petrys?

Bez obawy narażenia się na zarzut stronniczości można o nim powiedzieć tylko tyle, że urodził się w Budapeszcie w 1931 r., posiada obywatelstwo węgierskie, mieszka w Krakowie, jest żonaty, ma dwoje dzieci i nosi tytuł doktora chemii. Część środowiska naukowego widzi w nim pseudonaukowca, oszusta, milionera - i jeszcze kilka określeń można byłoby przytoczyć. On sam najkrócej charakteryzuje swoją sylwetkę w piśmie do Prokuratury Generalnej z dnia 4 września 1975 r.: - "Jestem człowiekiem, który od 15 lat buduje Polskę Socjalistyczną zgodnie ze wskazaniem Partii." Po raz pierwszy zetknął się Profesor z nazwiskiem Petrysa w drugiej połowie lat sześćdziesiątych przy okazji tzw. sprawy docent Hankus. Sprawa ta miała swój początek na Politechnice Krakowskiej i poprzez rozmaite szczeble naukowej drabiny dotarła na sam szczyt, do Polskiej Akademii Nauk, której profesor był wówczas Prezesem. Bez przypomnienia tamtej sprawy nie sposób zrozumieć dalszego ciągu wydarzeń.

Sprawa docent Hankus

zaczęła się dokładnie 30 września 1964 r., w dniu, w którym doc. dr inż. Aleksandra Hankus kierownik Zakładu Chemii w katedrze Fizyki na Wydz. Mechanicznym Politechniki Krakowskiej, skierowała do Rady Wydziału pismo żądające powołania komisji dla zbadania nienormalnego stanu, jaki powstał w podległym jej zakładzie i naprawienia zła. Winę za ów stan ponosi adiunkt dr Petrys - człowiek bez skrupułów, o kolosalnych ambicjach, żądny kariery za wszelką cenę, szykanujący ją i terroryzujący współpracowników. W zakładzie wytworzyła się na skutek tego "atmosfera obozu koncentracyjnego", nieuctwa, kradzieży i hochsztaplerstwa. Jako przykład postępowania dr Petrysa doc. Hankus podała fakt przedłożenia przez tego ostatniego pracy tzw. zespołu smarowego jako własnej pracy habilitacyjnej.

Swoje pismo do Rady Wydziału skierowała doc. Hankus 30 września 1964 r. W miesiąc później dr Petrys wniósł do Sądu Powiatowego dla m. Krakowa akt oskarżenia przeciwko swej przełożonej, skarżąc ją o zniesławienie. Piątego marca rzecznik dyscyplinarny Politechniki Krakowskiej doc. Julian Pałka wnosi do Komisji Dyscyplinarnej akt oskarżenia zarzucający doc. Hankus zniesławienie dr Petrysa. Zarzuty - motywuje - potwierdziły się tylko częściowo. Sprawa przeciąga się, ponieważ na jej tle dokonuje się polaryzacja sił w Politechnice. Rektor Kopyciński jest przeciwny wszczynaniu postępowania dyscyplinarnego, ale jego kadencja się kończy. Po wyborach sprawa rusza do przodu i 13 grudnia 1965 r. zapada werdykt - Komisja Dyscyplinarna wymierza doc. Hankus karę nagany. Sprawa jednak toczy się o znacznie większą stawkę - werdykt stanowi podstawowy dokument dla Sądu, który następnego dnia wymierza oskarżonej karę 11 miesięcy więzienia, 5 tys. złotych grzywny, zwrot kosztów sądowych i ogłoszenie wyroku w prasie. W komplecie sędziowskim, któremu przewodniczy SSP Bronisława Tambor, jedna tylko ławniczka, D. Glabińska-Musialska zgłasza odrębne zdanie. - "wyrok jest rażąco za wysoki - stwierdza - oskarżona przekroczyła dozwolone i dopuszczalne ramy, jednak motywem jej postępowania była troska o prawidłowość prac naukowych i ich samodzielność, a nie chęć bezpośredniego obrażania oskarżyciela Petrysa. W toku przewodu sądowego można uznać za udowodnione, że oskarżyciel swym zachowaniem prowokował oskarżoną drobnymi lecz stałymi szykanami, w jej pracy starał się ją wytrącić z równowagi psychicznej. Na powyższe zwraca uwagę też zachowanie się obydwu stron na rozprawie, gdzie oskarżyciel publicznie, zawsze z duża pewnością siebie i swobodą, udawadniał swe oskarżenie świadkami dobrze do sprawy przygotowanymi, bądź od niego w pracy zawodowej zależnymi. Natomiast oskarżona, osoba raczej robiąca wrażenie spokojnej i broniącej się bez specjalnego przygotowania, lecz przekonana o słuszności swego stanowiska, nie dysponowała w zasadzie "wygodnymi świadkami".

Jeszcze w czasie postępowania dyscyplinarnego odebrano podejrzaną aparaturę naukową, usunięto z laboratorium i pozbawiono zajęć dydaktycznych. W tej sytuacji doc. Hankus decyduje się zrezygnować z pracy na Politechnice Krakowskiej i przechodzi do Wyższej Szkoły Pedagogicznej na stanowisko dziekana Wydziału Matematyczno-Fizycznego. Politechnika rozwiązuje umowę o pracę z dr Reymanem, który w sporze staje jednoznacznie po stronie oskarżonej. Praca habilitacyjna dr Petrysa zostaje przesłana na Politechnikę Gliwicką, gdzie wkrótce jej autor zdaje pomyślnie kolokwium habilitacyjne. Jego habilitacja wymaga jednak zatwierdzenia

przez Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego. Doc. Hankus, która z oskarżycielki staje się oskarżoną, wnosi o rewizję wyroku do Sądu Wojewódzkiego w Krakowie, a od decyzji Komisji Dyscyplinarnej PK odwołuje się do wyższej Komisji Dyscyplinarnej dla pracowników naukowych przy Ministerstwie Szkolnictwa Wyższego. Ponieważ jednym z głównych problemów wymagających wyjaśnienia jest sprawa pracy habilitacyjnej dr. Petrysa, Komisja zleca biegłym zbadanie zasadności zarzutu jej "przywłaszczenia". Biegły prof. Witold Tomassi - kierownik Katedry Chemii Fizycznej na Wydz. Chemii Politechniki Warszawskiej (promotor pracy habilitacyjnej doc. Hankus - co obrona będzie potem skrzętnie wykorzystywać) pisze w swojej opinii: - "Jako pracę habilitacyjną dr Petrys przedstawił rozprawę pt. "O własnościach syntetycznego dwusiarczku molibdenu produkcji krajowej jako dodatku niskotarciowego do rodzimych olejów smarowych." Rozprawa zawiera 104 strony. W tekście zamieszczono 44 rysunki. Wyniki pracy doświadczalnej przedstawiono głównie na rysunkach. Rozprawa habilitacyjna nosi jedynie nazwisko dr Petrysa jako autora. W latach 1964 i 1965 ogłoszone zostały drukiem następujące prace: (wymienionych jest 6 artykułów zamieszczonych drukiem w prasie branżowej, a omawiających możliwości zastosowania syntetycznego dwusiarczku molibdenu do celów smarowniczych w różnych dziedzinach techniki. Artykuły podpisane są przez T. Petrysa i R. Kijkowską oraz T. Petrysa i M. Nizińską. H.N.) W rozprawie habilitacyjnej oraz w sześciu wymienionych tu artykułach wyniki doświadczeń ujęte są w wykresy. Porównanie treści tych prac można więc przeprowadzić porównując rysunki w nich zamieszczone." Z porównania wynika, że na 64 rysunki jakie znalazły się w 6 artykułach, 58 ma swoje odpowiedniki w pracy habilitacyjnej. - "Drukowanie 6 prac pod dwoma nazwiskami każe przyjąć - pisze prof. Tomassi - istnienie praw autorskich do tych prac T. Petrysa i M. Nizińskiej oraz T. Petrysa i R. Kijkowskiej. W artykule nr 5 czytamy na początku: "Artykuł informuje o wynikach prób laboratoryjnych przeprowadzonych przez zespół pracowników Politechniki Krakowskiej nad smarami molibdenowymi." Przytoczone fakty pozwalają stwierdzić, że: 1. Treść rozprawy habilitacyjnej T. Petrysa pokrywa się z treścią 6 tu przytoczonych i opublikowanych prac. 2. Prawa autorskie do przytoczonych w tych pracach wyników mają T. Petrys, R. Kijkowska i M. Nizińska. (...) Tekst rozprawy nie pozwala na określenie wkładu dr T. Petrysa do wyników uzyskanych przez zespół. (...) przedłożona rozprawa (...) nie może stanowić podstawy do ubiegania się o stopień docenta."

Biegły doc. dr Aleksander Pokrasen, emerytowany pracownik naukowy Politechniki Warszawskiej, w przedłożonej Komisji opinii dochodzi do podobnej konkluzji: - "Po przeczytaniu wyżej wymienionych prac i skonfrontowaniu ich z opiniowaną pracą habilitacyjną stwierdzam, że opiniowana praca w swej większej części opiera się na cytowanych pracach stanowiących wspólny dorobek T. Petrysa, M. Nizińskiej i R. Kijkowskiej. Autor wspomnianej pracy o współautorstwie nawet nie wspomniął."

W czerwcu 1966 r. odbyła się rozprawa przed Wyższą Komisją Dyscyplinarną. Komisja w składzie: doc. H. Samsonowicz przewodniczący, prof. prof. W. Czachorski, B. Dobrzański, M. Górski i Szarski - członkowie, uchyliła orzeczenie I instancji czyli Komisji Dyscyplinarnej Politechniki Krakowskiej i uniewinniła doc. Hankus z zarzutu zniesławienia dr Petrysa. Udzieliła jej natomiast upomnienia wyłącznie za użycie w piśmie do Rady Wydziału sformułowań niewłaściwych". W uzasadnieniu czytamy: - "Komisja doszła do przekonania, że obwiniona doc. Hankus, jako pracownik zakładu

naukowego, wobec chwiejnego stanowiska kierownika Katedry miała podstawy do zwrócenia się do Rady Wydziału (...) W szczególności można było mieć wątpliwości czy dr T. Petrys miał prawo w świetle dobrych obyczajów panujących na wyższych uczelniach, pominąć nazwiska swych współpracowniczek, gdy jednocześnie ta sama praca na posiedzeniach katedry była referowana jako praca zespołowa. Atmosfera pracy panująca w katedrze fizyki PK również mogła budzić uzasadniony niepokój u doc. Hankus. Komisja uważa również, że wątpliwości dotyczące kwalifikacji naukowych dr Petrysa powinny być w tej sytuacji ujawnione na Radzie Wydziału."

Werdykt Wyższej Komisji Dyscyplinarnej daje doc. Hankus nadzieję, a raczej pewność, że wisząca nad nią groźba 11 miesięcy więzienia nareszcie zniknie. Skoro bowiem wyrok Sądu Powiatowego opierał się na orzeczeniu Komisji Dyscyplinarnej PK, a to orzeczenie wspomniany werdykt WKD uchylał, mogła być spokojna o wynik rozprawy rewizyjnej przed Sądem Wojewódzkim. Jej radość była jednak krótka. W odpowiedzi bowiem na werdykt Wyższej Komisji Dyscyplinarnej prorektor Politechniki Krakowskiej prof. Jan Kaczmarek powołał, pismem z dnia 28 października 1966 r., komisję w celu "przeanalizowania kwestii autorstwa pracy habilitacyjnej dr Petrysa". Komisja w składzie: prof. Z. Kwapniewski, doc. M. Sarnowski, doc. Cz. Jodko, doc. W. Mazgaj po przeprowadzeniu dochodzenia wydała opinię, w której stwierdza, że nie było żadnego przywłaszczenia wyników pracy zespołu. Tę opinię dr Petrys składa w Sądzie Wojewódzkim.

W przekonaniu, że wymienionych trzech docentów i jednego profesora, którzy na PK pracują od niedawna, po prostu - jak się to dziś określa - "wpuszczono w maliny", doc. Hankus wysłała do nich list datowany 22.I.1967. - "(...) z treści protokołu - piszę - wyraźnie wynika, że komisji nie poinformowano o dotychczasowym przebiegu sprawy, a w szczególności zatajono przed nią wyniki i przebieg postępowania sądowego i dyscyplinarnego, nie powiadomiono jej o zebranych tam materiałach, dowodach i zeznaniach. Z protokołu tego wynika dalej, że komisja przystąpiła do tej pracy w czasie, gdy dowody winy Petrysa i zeznania świadków znajdowały się poza Politechniką i że komisja oparła swe wnioski wyłącznie na oświadczeniach zainteresowanych korzystnym dla dr Petrysa rozstrzygnięciem, nie konfrontując jednakże tych oświadczeń z wcześniej złożonymi, odmiennymi i zaprotokołowanymi zeznaniami tych osób, znajdującymi się w aktach wysłanych do Sądu w dniu 3 listopada 1966 r. Na domiar wszystkiego, wśród przebadanych i wymienionych przez komisję dowodów brak jest przywłaszczonej przez dr Petrysa pracy - co dyskwalifikuje całkowicie wyniki pracy komisji i jej wnioski. Wyrażam zdziwienie, że ktoś wypowiada się o kwestionowanym autorstwie pracy naukowej tak kategorycznym tonem, jak komisja, nie zapoznawszy się z tą pracą i przyznając się do tego w sporządzonym przez siebie protokole."

Ponieważ na list ten autorka nie otrzymała odpowiedzi, 14 grudnia 1968 r. skierowała do Sądu Koleżeńskiego (pomijam wcześniej podejmowane mniej drastyczne przedsięwzięcia typu odwołania do Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego) skargę przeciwko członkom ww. komisji o to, że: - "wydali na moją szkodę niezgodną z prawdą opinię, a następnie dowiedziawszy się, że opinię ową wydali nie znając dowodów świadczących o jej fałszywości i że przekazana została do sądu, nie wycofali tej opinii godząc się, by stanowiła dowód przeciwko mnie w Sądzie i by wykorzystana została do wymierzenia mi kary więzienia, za przeciwstawienie się przywłaszczeniu pracy naukowej."

Na posiedzeniu Sądu Koleżeńskiego pozwani stwierdzili zgodnie, że rzeczywiście swoją opinię oparli jedynie na przesłuchaniu świadków, a ściślej: (cytuje z protokołu) - "W dniu 10 listopada 1966 r. przesłuchali następujących pracowników Politechniki Krakowskiej: prof. dra Michała Halaununbrennera - kierownika Katedry Fizyki Wydz. Mechanicznego, dra Tibora Petrysa - adiunkta PK, mgra Reginę Kijkowską - starszego asystenta PK i mgra Marię Nizińską - starszego asystenta PK. Po przesłuchaniu świadków Komisja stwierdziła, że wkład pracy obu wymienionych asystentek "był charakteru nie dającego jakichkolwiek podstaw do ewentualnego współautorstwa pracy habilitacyjnej dr Tibora Petrysa." Na zapytanie Przewodniczącego Sądu Koleżeńskiego, czy zapoznali się z pracą dra Petrysa i czy porównali ją z publikacjami ogłoszonymi przez niego i asystentki Kijkowską i Nizińską pozwani oświadczyli, że tego nie uczynili. Oświadczyli również, że nie znali wydanego w czerwcu 1966 r. orzeczenia Wyższej Komisji Dyscyplinarnej, w którym praca dra Petrysa została zdyskwalifikowana."

Propozycja Sądu Koleżeńskiego była następująca: pozwani złożą wspólne oświadczenie stwierdzające, że werdykt wydali w oparciu o zeznania, natomiast samej pracy jak i owych artykułów pisanych kolektywnie, nie widzieli na oczy. Pozwani, którzy twierdzili, że nie zostali poinformowani, iż ich opinia będzie wykorzystana jako dowód w Sądzie Wojewódzkim, byli skłonni wycofać ją stamtąd, ale pod warunkiem, że Politechnika Krakowska się na to zgodzi. Nie chcą bowiem konfliktu z własną uczelnią. Doc. Hankus obawiając się, że sprawa skończy się na niczym nalegała, aby pozwani podpisali pismo do sądu, które przedstawiła, unieważniające wydaną opinię jako opartą na niekompletnych materiałach dowodowych.

W dwa tygodnie później do Sądu Koleżeńskiego wpłynęło pismo ww członków komisji, w którym komunikowali, że: - wydając opinię zapoznali się z materiałami dotyczącymi badanej sprawy w takim zakresie, w jakim było to potrzebne, - nie widzą podstawy, aby ktokolwiek narzucał im odmienne zdanie w omawianej sprawie aniżeli to, które reprezentują zgodnie ze swoim sumieniem i wiedzą, - zarzuty doc. Hankus stanowią niedopuszczalną ingerencję w prawo pracownika nauki do swobodnego wypowiedzania się w sprawach związanych z nauką, - z powyższych względów nie poczuwają się do obowiązku podpisywania deklaracji w formie pisma skierowanego do Sądu Wojewódzkiego, a proponowanego przez doc. dr A. Hankus.

Pieszczoch Temidy

Równocześnie z walką o uniewinnienie z zarzutu pomówienia i obrazy dr Petrysa prowadzoną na forum nauki, doc. Hankus wnosi o rewizję drakońskiego wyroku Sądu Powiatowego. Ponieważ sąd oparł swój wyrok, w głównej mierze, na werdykcie Komisji Dyscyplinarnej Politechniki Krakowskiej, oskarżona wnosi teraz o włączenie do akt sprawy dokumentów z postępowania przed Wyższą Komisją Dyscyplinarną, stanowiącą drugą w stosunku do Komisji Dyscyplinarnej PK, instancję w procesie postępowania dyscyplinarnego. Ku niemałemu jej zaskoczeniu Sąd Wojewódzki w Krakowie nie wyraża na to zgody. Sąd włączył już do akt opinię komisji powołanej przez prorektora Politechniki Krakowskiej i stwierdza, że liczba dokumentów potrzebnych do rozpoznania sprawy, jest już wystarczająca. Przypadkowo składa się jednak tak, że zarówno werdykt Komisji Dyscyplinarnej Pk jak i opinia obciążają doc.

Hankus, natomiast werdykt Wyższej Komisji Dyscyplinarnej przemawia na jej korzyść. Jeśli więc dokumenty z WKD nie znajdują się w aktach sprawy, A. Hankus nie ma co liczyć na pomyślny wynik rewizji. Walka o włączenie tych dokumentów trwa 12 miesięcy i kończy się tym, że Sąd Najwyższy przenosi 24 czerwca 1967 r. rewizję do Sądu Wojewódzkiego w Kielcach. Oskarżona składa ponownie wniosek o włączenie do akt sprawy dokumentów z postępowania dyscyplinarnego przed WKD i po półrocznym oczekiwaniu otrzymuje odpowiedź ... odmowną. Sytuacja powtarza się raz jeszcze i 20 kwietnia 1968 r. "sprawa doc. Hankus" trafia przed oblicze Sądu Wojewódzkiego w Warszawie Wydział V Karny - Rewizyjny. Zmiana sądu i tym razem nie zmienia nic w kwestii dopuszczenia zawnioskowanych przez oskarżoną dowodów. Sąd Wojewódzki dla m. st. Warszawy czternaście razy oddalał składane kolejno wnioski doc. Hankus. Nie zmienił swego stanowiska również wówczas, gdy z Sądu Koleżeńskiego nadszedł protokół przesłuchania członków komisji badającej sprawę pracy habilitacyjnej dr Petrysa, w którym owi członkowie przyznają, iż wzmiankowanej pracy ani artykułów, zawierających te same co praca treści nie widzieli. Doc. Hankus nie rozumiejąc uporu sądu, składa kolejno wnioski: - do Sądu Wojewódzkiego, aby ten wystąpił z zapytaniem prawniczym w sprawie włączenia dowodów do Sądu Najwyższego, do tego ostatniego o wyłączenie z postępowania rewizyjnego sędziów Sądu Wojewódzkiego w Warszawie i na koniec, o poddanie tych sędziów badaniom psychiatrycznym. - "Począwszy od dnia przejęcia sprawy przez Sąd Wojewódzki dla m.st. Warszawy, a skończywszy na dniu 10 lutego 1969 r. - pisze doc. Hankus w tym wniosku - występowałam kilkunastokrotnie z wnioskiem o uzupełnienie postępowania dowodowego przez dopuszczenie akt Wyższej Komisji Dyscyplinarnej, jednakże Sąd Wojewódzki odrzucał uporczywie dowody mojej niewinności, stwierdzając - jak np. w orzeczeniu z dnia 25 października 1968 r. - że "nie ma potrzeby" uzupełniania przewodu sądowego (...) Dopuszczenie dowodu z wyroku skazującego Komisji Dyscyplinarnej I instancji, a odrzucenie dowodu z akt i wyroku Komisji Dyscyplinarnej II instancji, który skazujący mnie za rzekome zniesławienie wyrok uchylił, jest dowodem, że wymienieni we wniosku sędziowie cierpią na sui generis manię prześladowczą, skoro decydują się na segregację akt dyscyplinarnych, mającą na celu wyeliminowanie z nich dowodów mojej niewinności (...)"

Po oddaleniu przez Sąd Najwyższy tego wniosku, stanowiącego w gruncie rzeczy rozpaczliwy gest oskarżonej, doc. Hankus decyduje się na gest następny i wysyła do Rady Państwa skargę na sędziów Sądu Wojewódzkiego. Pani Reyman, teściowa doc. Hankus, matka dr Reymana, która razem z nim prowadzi walkę z Temidą, kieruje list otwarty do rektora Uniwersytetu Warszawskiego, który to uniwersytet wydał dyplomy magistrów owym sędziom. Jak można się łatwo domyślić, wszystkie te zabiegi i pisma odnoszą jedynie taki skutek, że wokół całej trójki narasta sława peniaczy. Tak to już bowiem jest, że jeśli ktoś powtarza po wielokroć swoje racje, to choćby to była sama prawda, nikt go nie będzie słuchał. Nieważne co mówi, ważne, że mówi ciągle to samo. W przypadku "sprawy doc. Hankus" jakby zapomniano, że ta trójka "peniaczy" nie walczy jedynie o słowa, bo ostatnie wraz z wyrokiem Sądu Powiatowego stały się ciałem i przybrały realną postać 11 miesięcy więzienia.

Beznadziejna walka z Temidą nadszarpnęła mocno siły doc. Hankus. Pod koniec 1968 r. prosi o zwolnienie ze stanowiska dziekana w WSP. Powoli godzi się z myślą o pójściu do więzienia. Gdyby prowadziła tę walkę sama, uległaby prawdopodobnie już

dawno. Natura nie stworzyła jej bowiem na bywalca sądowych korytarzy - jest wątła, niezbyt odporna psychicznie, typowy przykład kobiety - naukowca. To, że prowadzi walkę, że nie chce się poddać, jest wynikiem wsparcia, jakiego udzielają jej mąż i teściowa - twardzi, zdecydowani walczyć "aż do końca".

W roku 1969 na ów koniec się jednak nie zanosilo - a przynajmniej nie zanosilo się na koniec pomyślny dla oskarżonej. Kiedy 6 maja 1969 r. Sąd Wojewódzki dla m.st. Warszawy przystąpił ostatecznie do rozprawy rewizyjnej nie dopuszczając w dalszym ciągu zawnioskowanych przez doc. Hankus dowodów, ta na znak protestu złożyła następujące pisemne oświadczenie: - "W związku z przestępstwami Sądu Wojewódzkiego dla m.st. Warszawy i jego sędziów w niniejszej sprawie popełnionych, polegających na uniemożliwieniu mi przeprowadzenia dowodu prawdy (...) przez niedopuszczenie dowodu z akt dyscyplinarnych (...) czyli świadomym działaniem na szkodę nauki polskiej i polskiego wymiaru sprawiedliwości, cofam rewizję." W końcowej części uzasadnienia powtarzając raz jeszcze zarzuty pod adresem sędziów, pisze: - "W tych warunkach nie mogę zgodzić się na postawienie mnie przed takimi sędziami i oddanie w ich ręce mojej sprawy."

Wycofanie rewizji powoduje uprawomocnienie się wyroku. Zgodnie z orzeczeniem Sądu 28 maja 1969 r. "Echo Krakowa" zamieszcza skróconą sentencję wyroku.

Uprawomocnienie wyroku nie kończy bynajmniej sprawy. Głośno jest o niej w środowisku naukowym, coś niecoś wie na jej temat również tzw. szeroka opinia społeczna. W kręgach prawniczych też musiała widać wywołać kaca, skoro w miesiąc po wycofaniu rewizji znalazł się ów "pierwszy sprawiedliwy", który nie godzi się by sprawa poszła do lamusa. Jest nim pierwszy prezes Sądu Najwyższego prof. dr Zbigniew Resich. W dniu 6 czerwca zakłada przeciwko wyrokowi rewizję nadzwyczajną z urzędu. - "Rozstrzygnięcie Sądu Powiatowego w tej kwestii - pisze we wniosku - jest nietrafne. Zasadniczą kwestią jest problem autorstwa i poziomu naukowego pracy habilitacyjnej oskarżyciela prywatnego T.Petrysa (...). Ocena takiej pracy wymaga specjalistycznych wiadomości z zakresu chemii i fizyki. Na tej podstawie obrona wniosowała przed rozprawą i na rozprawie powołanie biegłych. Sąd Powiatowy w dniu 14 grudnia 1965 r. odmówił wnioskowi obrony z uwagi na to, że "Sąd jest najwyższym biegłym i jest powołany do oceny okoliczności, a powołanie biegłych niepotrzebnie przewlekałoby sprawę". Dla wyjaśnienia warto dodać, że mimo iż biegłych nie powoływano, od wniesienia oskarżenia do zapadnięcia wyroku minęło dokładnie 13 miesięcy i 9 dni. W zakończeniu wniosku prof. Resich pisze: - "Rozważyć należy również i ocenić nie tylko treść wypowiedzi oskarżonej, ale i fakt, że zwracała się ona pismem do Rady Wydziału Politechniki, a więc instancji uczelni powołanej do kierowania pracami naukowymi i dydaktycznymi."

Dnia 18 listopada 1969 r. odbyła się rozprawa. Jednym z czworga ludzi stanowiących publiczność na sali sądowej był red. Daniel Passent, który opisał następnie całą sprawę w artykule "Zabrakło tylko krwi". ("Polityka" 6.XII.1969 r.). - "Dziwny to był widok - pisze Passent - Sala Sądu Najwyższego. Za stołem trzej sędziowie, ludzie w sile wieku, stanowiący symbol sprawiedliwości (...) Po prawej stronie adwokaci Tobiasza (T. Petrysa - H.N.). Po prawej puste miejsca dla adwokatów A. Mielczak (A. Hankus - H.N.) Na ławach dla publiczności dwie osoby oddalone od siebie jak najdalej: Tobiasz, młody szczupły brunet o spokojnym sposobie mówienia,

jak gdyby w cuglach i teściowa oskarżonej, znana nawet urzędniczkom wielu sądów. Z tyłu, przy drzwiach znudzony woźny i wasz sprawozdawca (...).

Ponad dwie godziny naradzali się sędziowie Sądu Najwyższego by wreszcie, ku uldze Tobiasza, odrzucić rewizję wniesioną przez I Prezesa ich sądu".

Sędziowie Z. Kabac, K. Wagner i A. Paszkowski tak uzasadniali swoją decyzję: - "Ocena wartości naukowej i poziomu pracy habilitacyjnej Tibora P. wykracza poza ramy toczącego się oskarżenia prywatnego procesu, ponieważ akt oskarżenia nie zarzucał oskarżonej zniekształcających wypowiedzi co do poziomu tej pracy. (...) Co więcej, ani oskarżona ani jej obrońca nie zgłaszali nawet takiego wniosku o powołanie biegłych dla oceny poziomu pracy habilitacyjnej Tibora P. (...) Oskarżona i jej obrońca zgłaszali natomiast wnioski o powołanie biegłych dla ustalenia faktu przywłaszczenia sobie przez oskarżyciela prywatnego pracy zespołu (...) Oskarżona zajmowała stanowisko, które podziela rewizja nadzwyczajna, że w rozpoznawanej sprawie zachodziła konieczność powołania biegłych specjalistów od smarów w celu ustalenia w jakim stopniu praca zgłoszona do druku przez oskarżyciela prywatnego jako jego własna praca habilitacyjna zawiera tożsame wyniki, rysunki, wykresy i wnioski z opublikowanej później we wspólnych artykułach oskarżyciela prywatnego oraz asystentek K. i N."

Zdaniem sędziów jednak: - "przy ocenie autorstwa pracy habilitacyjnej oskarżyciela prywatnego, nie chodzi o ustalenie, w jakim stopniu jest ona tożsama z napisanymi później 6 artykułami, lecz o to jaki był wkład obu asystentek w pracę Zespołu Smarowego. A do takiego ustalenia nie są powołani biegli - specjaliści od smarów (...) Podstawowym dowodem są tu zeznania asystentek K. i N., zeznania zaś te są jednoznaczne i zgodne z zeznaniami Tibora P. Obie one zeznały, że Tibor P. prowadził już wcześniej badania, miał on plan badań gotowy, że wykonywały czynności pomocnicze, które mogłyby wykonać także laborantki, że wszystko robiły pod kierunkiem Tibora P., że praca ich polegała na dokonywaniu pomiarów, na częściowym sporządzaniu wykresów i tabel, natomiast wnioski do swojej pracy habilitacyjnej opracował Tibor P., przy czym część tych wniosków przekazał im, by opracowały praktyczne zastosowania ich w niektórych gałęziach przemysłu i te opracowania znalazły się we wspomnianych artykułach. Dlatego też uważają się one za współautorki tych artykułów, natomiast nie poczuwają się do współautorstwa pracy habilitacyjnej Tibora P."

To uzasadnienie nasuwa moim zdaniem kilka wątpliwości. Pierwsza dotyczy bezkrytycznego przyjęcia zeznań świadków (konkretnie było ich troje tzn. obie asystentki i kierownik katedry) jako podstawy do ustalenia kwestii współautorstwa pracy habilitacyjnej T. Petrysa. Obie asystentki nie były w najmniejszym stopniu zainteresowane przyznaniem im współautorstwa pracy habilitacyjnej. Dla nich pytanie czy poczuwają się do współautorstwa tej pracy oznaczało dokładnie to samo co pytanie: - czy chcą, aby dr Petrys nie został docentem. Niełatwo jest powiedzieć: tak, jeśli z człowiekiem, którego to dotyczy, pozostaje się w tzw. stosunkach służbowych i jeśli takiej odpowiedzi nie można nawet usprawiedliwić "obroną własnego interesu". Jeszcze większy sceptycyzm powinien dotyczyć zeznań kierownika katedry - przecież był częściowo odpowiedzialny za to, co się stało. Broniąc racji T. Petrysa, bronił własnej postawy, bronił go jak nauczyciel broniący pracy ucznia, za którą poprzednio postawiono mu dobrą ocenę.

Druga wątpliwość dotyczy stwierdzenia sądu, że porównywanie treści pracy habilitacyjnej T. Petrysa z sześcioma opublikowanymi wspólnie (T. Petrys i asystentki) artykułami nie prowadzi do żadnych wniosków przydatnych dla rozstrzygnięcia sprawy. W uzasadnieniu znalazł się następujący akapit: - "doc. P(okrasen) wypowiedział się, że praca ta w swej większej części opiera się na artykułach stanowiących wspólny dorobek trzech osób: Tibora P., N. i K. (...) Biegły ten wychodzi więc z błędnego założenia, że w pracy habilitacyjnej zaczerpnięto treść, rysunki itd. z 6 artykułów, gdy tymczasem w rzeczywistości było odwrotnie. Odwrotnie tzn. że treść, rysunki itd. do artykułów zaczerpnięto z pracy habilitacyjnej. Ze szczegółowej opinii prof. Tomassiego wynika, że np. rysunki do artykułów "zaczerpnięto" prawie w 100% z owej pracy. Z opinii tego samego biegłego, a również doc. Pokrasena można wnosić, że treść również w większej części "zaczerpnięto" z pracy. Czy zatem artykuły nie były, jak twierdzą wspomniane asystentki N. i K., odrębnymi wobec pracy habilitacyjnej opracowaniami, wykorzystującymi jedynie niektóre wnioski z tej pracy i rozwijające je dla praktycznego wykorzystania w danej gałęzi przemysłu? Jeśli nie były, jeśli stanowiły jedynie nieco zmienioną część pracy habilitacyjnej, to trudno odmówić im prawa współautorstwa do tej "większej części pracy", wydrukowanej w nieco tylko zmienionej formie w 6 artykułach, skoro do współautorstwa tych artykułów postrzegają się one w pełni. Może więc różnica stanowisk w kwestii współautorstwa nie wynika z różnego wkładu pracy w obu przypadkach, ale z innej formy gratyfikacji? Dr Petrys nie ma nic przeciw uznaniu ich współautorstwa w przypadku, gdy chodzi o honorarium i w jakimś stopniu prestiż tzn. w przypadku publikacji prasowych, odmawia im natomiast współautorstwa pracy habilitacyjnej, z której one żadnego pożytku i tak mieć nie mogą. Dlatego dokładna analiza wzajemnych związków i stopnia tożsamości pracy habilitacyjnej z artykułami, wydaje mi się nie taka znowu bezcelowa za jaką uznał ją sąd.

Trzecia wreszcie wątpliwość dotyczy stwierdzenia sądu, iż wbrew temu co sugeruje I Prezes Sądu Najwyższego, ocena poziomu pracy habilitacyjnej T. Petrysa jest zbędna, ponieważ zarzuty oskarżonej nie dotyczyły poziomu pracy. Wydaje mi się jednak, że jeśli chcę ocenić np. wkład pracy kwalifikowanego kamieniarza wspólnie z rzeźbiarzem, to to dobrze jest wiedzieć czy owym dziełem był granitowy jeździec na koniu czy prostopadłościenny cokół. Z zeznań asystentek wiadomo, że prowadziły one pomiary, sporządziły część wykresów i tabel. W protokole z rozprawy przed Wyższą Komisją Dyscyplinarną znalazło się takie stwierdzenie: - "...w środowiskach chemii pominięcie współpracowników, a zwłaszcza osób, które przeprowadziły doświadczenia, daje podstawę do ujemnej oceny postępowania dr Petrysa. W podobnych przypadkach pracownicy używają określenia kradzież pracy." Przytaczam je jednak tylko na marginesie bo nie ono w tej chwili jest ważne. Ważny jest wkład dr Petrysa do wspólnej pracy zespołu. Sąd zakłada niemal z góry, że musiał on być duży, skoro praca nazywa się habilitacyjna. Z zeznań wynika, że zanim przydzielono do zespołu smarowego asystentki, dr Petrys "miał już plan badań gotowy", potem "pracą kierował" i "opracowywał wnioski". W pismach doc. Hankus znalazłem na temat tych wniosków następującą opinię - wniosek był w gruncie rzeczy jeden: - że syntetyczny dwusiarczek molibdenu do celów smarowniczych jest równie dobry jak dwusiarczek naturalny. Nie przytaczałbym go nawet, gdyby nie to, że w owych pismach wyjaśniona jest również geneza całej sprawy syntetycznego dwusiarczku molibdenu, którą można by uznać za równie stroniczą gdyby nie była poparta dowodami. Otóż z ww pisma

wynika, że cała sprawa narodziła się w początkach lat sześćdziesiątych, gdy grupa wynalazców z Kędzierzyna, działając w ramach produkcji antyimportowej, opracowała metodę produkcji syntetycznego dwusiarczku molibdenu. Zaczęto nawet produkcję w skali półtechnicznej i były poważne zamiary budowy dużych zakładów produkcyjnych. Politechnika Krakowska wzięła na warsztat sprawę dwusiarczku i właśnie "zespół smarowy" miał dowieść, że do celów smarowniczych nadaje się on bardzo dobrze. Popularyzując na łamach prasy fachowej zalety syntetycznego dwusiarczku (stąd owe 6 artykułów) autorzy z "zespołu smarowego" trafili również do redakcji pisma "Przemysł Chemiczny". Ta jednak, przed wydrukowaniem artykułu, poprosiła o jego recenzję prof. dr Karola Akermana. Recenzja była druzgocąca: - "Cała sprawa zreferowana w obu artykułach - pisał profesor - polega na oczywistym nieporozumieniu. Produkcja syntetycznego dwusiarczku molibdenu dla zastąpienia importowanego molibdenu nie ma sensu, ponieważ cały surowiec molibdenowy dostępny w Polsce, pochodzi z importowanego molibdenitu". Operacja byłaby więc taka: importowany molibdenit byłby przerabiany na molibden, a ten z kolei na syntetyczny molibdenit. Dlatego prof. Akerman kończy swoją recenzję nie kryjąc dobrego humoru: - "Dlatego właśnie Polska, jak to T. Petrys pisze w pierwszym artykule na str. 9, jest jedynym krajem na świecie produkującym w skali półtechnicznej, syntetyczny MoS dla celów smarowniczych."

W pełni podziela to zdanie również doc. Pokrasen w swojej opinii, sporządzonej na zlecenie Wyższej Komisji Dyscyplinarnej. Nie ukrywa ponadto, że jego zdaniem, praca wyraźnie robiona jest pod tzw. zapotrzebowanie społeczne: -"Celem powyższej pracy było wykazanie - pisze doc. Pokrasen - jeśli nie wyższości to przynajmniej równorzędności syntetycznego dwusiarczku molibdenu w porównaniu z naturalnym molibdenitem. Autor w samym tytule wyraźnie podkreśla, że w pracach badawczych używano dwusiarczku molibdenowego krajowej produkcji do olejów smarowych rodzimych". Stąd właśnie moje przekonanie, że dokonując oceny poziomu merytorycznego całej pracy i pamiętając, że asystentki "wykonywały pomiary oraz częściowo rysunki i tabele", można byłoby dowiedzieć się o rzeczywistym wkładzie pracy dr Petrysa znacznie więcej, niż z ogólnych stwierdzeń zawartych w zeznaniach świadków (nawet przy założeniu, że są one w pełni wiarygodne).

Nie te jednak wątpliwości odnośnie do wyrażonego w uzasadnieniu wyroku stanowiska Sądu Najwyższego stanowią o tym, że wyrok trudno uznać za salomonowy. Przecież głównym punktem oskarżenia był zarzut "pomówienia" dr Petrysa o przywłaszczenie wyników pracy zespołu. Tymczasem nikt i nigdy nie zakwestionował faktu, że praca którą zgłosił jako własną i w której nie uczynił najmniejszej nawet wzmianki o udziale innych w jej opracowaniu, była pracą zespołową. Roztrząsanie w toku postępowania dowodowego i w czasie samego procesu problemu wkładu poszczególnych członków zespołu do wspólnej pracy, w ogóle nie miało sensu. Jeśli nawet udział asystentek w tej pracy był niewielki, to przecież również to, czego w imię zasad etyki zawodowej żądano od dr Petrysa było niewygodne - żądano zaznaczenia bądź to we wstępie, bądź w bibliografii, tego, że nie robił jej sam. Tego wymagała uczciwość wobec swoich współpracowniczek, ale również wobec komisji, która miała zdecydować o habilitacji. Do niej bowiem należało ustalenie czy jego wkład pracy był na tyle ważący, że może stanowić podstawę habilitacji. Zatajenie zespołowego charakteru pracy trudno nazwać inaczej niż próbą oszukania owej komisji, a podpisanie jej wyłącznie własnym nazwiskiem - próbą przywłaszczenia

wyników pracy zespołu. Doc. Hankus jako kierownik zakładu miała nie tylko prawo, ale wręcz obowiązek przeciwstawić się tym matactwom, a uczyniła to w sposób najbardziej właściwy - prosząc Radę Wydziału o komisyjne zbadanie sprawy. Gdyby ta zdecydowana postawa sprzeciwu wobec cwaniactwa i hochsztaplerstwa była bardziej powszechna w środowisku naukowym, może nie musielibyśmy dziś ubolewać nad jego upadkiem etycznym. Winę za to, że ta w istocie drobna sprawa urosła do gigantycznych rozmiarów, ponoszą ci, którzy zamiast dezaprobaty nie skąpili Petryswi poparcia i nawet wówczas, gdy w poczuciu bezkarności postanowił posłać do więzienia osobę, która ośmieliła się stanąć na jego drodze, uczynili wszystko by mu się to udało. W tej ostatniej sprawie nie bez znaczenia było oczywiście niezwykle szczęście, jakim się cieszył w świątyni Temidy.

Na koniec wróćmy raz jeszcze do artykułu D. Passenta - świadka tamtej rozprawy przed Sądem Najwyższym: - "Tą decyzją - pisze on - sędziowie utrzymali w mocy karę 11 miesięcy aresztu, na którą skazana została doc. Mielczak, obecnie dziekan wyższej uczelni w Rzeszowie. Nie pójdzie ona do więzienia (choć raz już była na to gotowa i w determinacji wycofała rewizję), bo przysłała jej na odsiecz amnestia. Ale żadna dla niej pociecha. Ta kobieta nie jest przestępczynią, którą społeczeństwo powinno od siebie odseparować - z dokumentów jawi się jako osoba wrażliwa i niezbyt zrównoważona (ale kto z nas by to wytrzymał!?), której rektor, dla przedłożenia w sądzie, wystawił opinię złożoną z samych superlatywów jako o człowieku i naukowcu. Z pewnością nie liczy się ze słowami, postępowała nie zawsze odpowiedzialnie i doprowadziła siebie - oraz doprowadzono ją - do ostateczności, walcząc z otaczającym ją światem. Ale utrzymać w mocy skazujący ją wyrok - to się nie mieści w głowie. W tym gigantycznym przewodzie sądowym racja wydaje się leży po stronie najniższego i najwyższego przedstawiciela aparatu sprawiedliwości tj. po stronie jednej ławniczki z Krakowa i Prezesa Sądu Najwyższego z Warszawy. To co działo się pośrodku jest nie do opisanania.

Kiedy Sąd Najwyższy ogłosił wyrok, pierwsze pytanie Tobiasza brzmiało: - Do kogo jeszcze się ona może odwołać? - Do ONZ! - odpowiedział mecenas."

W dniu 9 maja 1973 r. "sprawa doc. Hankus" po raz kolejny wróciła na wokandę. Tym razem z wnioskiem o uchylenie wyroku wystąpił do Sądu Najwyższego Prokurator Generalny. Nie była to jednak jego własna inicjatywa, lecz wynik "publicystycznej" działalności rodziny Reymannów - których determinacja w walce o naprawienie krzywdy nie słabła z biegiem lat i których odezwy oraz listy otwarte zaczęły być dokuczliwe dla władz - a także zdecydowaną postawą czołowych przedstawicieli środowiska naukowego. Wśród tych, którzy po stronie doc. Hankus stanęli najwcześniej i przeciwko niesłusznemu wyrokowi protestowali najenergiczniej, znalazł się prof. dr Janusz Groszkowski. Trzeci rok zimy

Tibor Petrys - jak można wnosić z jego pism - do dziś nie może zrozumieć motywów działania Profesora. Wierzę, że pisze prawdę. Jego świat i świat Profesora leżą na tak odległych biegunach, że to niezrozumienie wydaje się zupełnie zrozumiałe.

Po raz pierwszy zetknął się Profesor ze "sprawą doc. Hankus" jeszcze jako Prezes Polskiej Akademii Nauk. Jej rozstrzygnięcie uznał za oburzające i to zarówno jako uczonego, jak i - traktujący z należytą powagą swoją funkcję - szef Akademii. Profesor przykładał zawsze wielką wagę do spraw etyki środowiska naukowego. Jako Prezes PAN doceniał wagę wzajemnych powiązań między poziomem etycznym

pracowników nauki a poziomem samej nauki. Jako uczony, uważał wysoki poziom etyczny za podstawową cechę pracownika naukowego. W 1974 r. pisał w swej opinii na temat projektu "Kodeksu etyki pracownika nauki" przygotowywanego przez Prezydium PAN (w tamtym czasie był szczególny urodzaj na wszelkiego rodzaju "kodeksy etyczne"). - "Należałoby się zastanowić, czy przygotowanie kodeksu etyki pracownika nauki jest w ogóle potrzebne, tak jak zbędne chyba byłyby przepisy *savoir-vivre'u* dla dyplomatów".

Gdy w wyniku wyboru do Sejmu PRL w 1972 r. Profesor zostaje posłem, a następnie obejmuje funkcję zastępcy przewodniczącego Rady Państwa (a rok wcześniej funkcję przewodniczącego OK FJN), nie traci z pola widzenia "sprawy doc. Hankus". Przeciwnie - jako przedstawiciel centralnych władz państwowych czuje się jeszcze bardziej zobligowany do starań o naprawienie krzywdy. W tej sprawie nie chodzi tylko o tę zwyczajną ludzką krzywdę, nie chodzi tylko o etykę pracownika nauki, chodzi również o praworządność. W odpowiedzi na list Stanisławy Reymann, skierowany do posłów - uczonych, prof. dr Janusz Groszkowski i prof. dr Jan Szczepański (wówczas wiceprezes PAN) przesyłają 22 września 1972 r., na jej ręce, następujące oświadczenie. - "Sprawę doc. dr inż. Aleksandry Hankus i dr inż. Andrzeja Reymanna znamy z odpisów dokumentów i interweniowaliśmy u władz celem jej wyjaśnienia. Uważamy bowiem, że wyrok sądowy skazujący pracownika nauki za przeciwstawienie się habilitacji budzącej wątpliwości natury moralnej i naukowej jest zagrożeniem dla samych podstaw rozwoju szkolnictwa wyższego. Każdy pracownik naukowy jest zobowiązany moralnie i prawnie do przeciwstawiania się przewodom naukowym budzącym jego wątpliwości. (...) Jako profesorowie i posłowie uważamy, że utrzymanie w mocy wyroku skazującego doc. Hankus (...) jest niebezpiecznym precedensem utrudniającym dążenie do utrzymania przewodów habilitacyjnych na odpowiednim poziomie moralnym i naukowym. Czynimy co jest w granicach naszej możliwości, aby doprowadzić do zakończenia tej nad wyraz przykrej sprawy oraz zlikwidowania jej późniejszych konsekwencji i szkodliwych skutków społecznych".

Do tego oświadczenia dołączają swoje podpisy prof. prof. Janusz Tymowski i Edward Lipiński oraz Antoni Słonimski, Andrzej Wajda, Gustaw Holoubek, Krzysztof Penderecki i Melchior Wańkowicz. Podpis M. Wańkowicza opatrzony jest następującym dopiskiem: - "Przychodzi do mnie wiele spraw ludzi sponiewieranych przez bezprawie. Więcej widziałem załamań niż zwycięstw. Sprawę afery Petrysa znam od dawna. Uważam jej perypetie za hańbę dla naszego życia publicznego. Przyłączam się do opinii profesorów".

W odpowiedzi na to oświadczenie - które Stanisława Reymann załącza do kolejnego "listu otwartego", tym razem do Prokuratora Generalnego (z odpisami dla prasy) - Minister Sprawiedliwości wspólnie z Prokuratorem Generalnym, informują posłów - autorów "Oświadczenia", że wprawdzie podzielają ich pogląd, iż rozstrzygnięcie sprawy doc. Hankus może budzić wątpliwości, to jednak nie widzą, ze względów formalnych, możliwości ponownego jej rozpatrzenia. Ponadto kara została przecież doc. Hankus darowana. Reymannowie nie zgadzają się ani z pierwszym, ani z drugim argumentem. Na drugi odpowiadają, że w sprawie nie chodzi o karę, ale o sprawiedliwość, na pierwszy - że nie ma formalnych przeszkód dla wniesienia rewizji nadzwyczajnej.

Na tym etapie wspomnieć wypada o nowych elementach, które pojawiają się w tej sprawie. Przede wszystkim jest nim orzeczenie tajnej komisji powołanej przez Sekcję Studiów Technicznych Rady Głównej Szkolnictwa Wyższego dla oceny pracy habilitacyjnej dr Petrysa w związku z wnioskiem Rady Wydziału Chemii Politechniki w Gliwicach o jego habilitację. Komisja ta w składzie prof. prof. Kuczyński, Smoleński i Kopecki po gruntownym zbadaniu sprawy wypowiedziała się za dyskwalifikacją pracy ze względów formalnych, merytorycznych i etycznych. Na tej podstawie Minister Szkolnictwa Wyższego odrzucił wniosek o habilitację.

Rozmowy między przedstawicielami organów sprawiedliwości a zainteresowanymi doprowadziły w końcu do zawarcia poufnej umowy, w myśl której Prokurator Generalny przyrzekł złożyć w Sądzie Najwyższym wniosek o wznowienie postępowania w sprawie doc. Hankus. Reymannowie zobowiązali się natomiast, wycofać z sądów wszystkie pozwy o odszkodowanie za czyny niedozwolone przeciw sędziom, prokuratorom i sądom, zaprzestać pisania i kolportowania listów otwartych i skarg. Sprawy prowadzone przeciwko nim (o zniesławienie i obrazę różnych funkcjonariuszy organów wymiaru sprawiedliwości) miały zostać zdjęte z wokandy.

Przez kilka następnych miesięcy sprawa jednak nie ruszyła z miejsca. Prokurator Generalny zwlekał ze złożeniem wniosku, postępowanie przeciwko Reymannom toczyło się nadal, nadal podejmowano próby poddawania ich badaniom psychiatrycznym, oni zaś wznowili swoją "publicystyczną" akcję protestacyjną. Dopiero 9 maja 1973 r. do Sądu Najwyższego wpływa wniosek Prokuratora Generalnego. Po zapoznaniu się z jego treścią poszkodowana dochodzi jednak do wniosku, że kryje się tu zasadzka. Wnosi on bowiem o uniewinnienie jej na podstawie tego, że - mówiąc lapidarnie - działała w przekonaniu, iż ma rację, gdy tymczasem ona chce być uznana niewinną dlatego, że przeprowadziła dowód prawdy na wszystkie swoje zarzuty. W swoim piśmie do Prokuratora Generalnego podkreśla ponadto, że w swoim wniosku pominął wiele dokumentów świadczących właśnie o tym, że miała rację i dlatego bardzo dla sprawy istotnych. - "W imię prawa i uczciwości - pisze w zakończeniu - wzywam Obywatela Prokuratora Generalnego do ujawnienia przed Sądem Najwyższym ukrytych przezeń, a obciążających stwierdzonego urzędowo oszusta, złodzieja i pasożyta - faktów i zawnioskowanie stosownych dowodów".

Ponieważ na ten list nie otrzymuje odpowiedzi, a prowadzący rewizję sędziowie Sądu Najwyższego Paweła, Szczepański i Cieślak nie wyrażają zgody na włączenie do akt wspomnianych dowodów, sprzeciwia się rozpatrywaniu sprawy.

Na posiedzeniu w dniu 11.X.1973 r. Sąd Najwyższy w wymienionym wyżej składzie pozostawia wniosek Prokuratora Generalnego bez rozpoznania motywując to tym, że "przepisy procesowe nie przyznają prokuratorowi uprawnień do złożenia wniosku o wznowienie postępowania w sprawie z oskarżenia prywatnego, zwłaszcza gdy strona, na której rzecz wniosek o wznowienie postępowania złożono, stanowczo się temu sprzeciwia".

Sprawa wraca więc znów "na półkę". Profesor Groszkowski charakteryzując powstałą sytuację, pisał: - "Sytuacja jest wprost paradoksalna. Ogólnie przyznaje się, że doc. Hankus nie jest winna, że wyrok skazujący był niesłuszny i że należy ją zrehabilitować. Jednak - ze względu na atmosferę, jaką Reymannowie wytworzyli (swoimi listami otwartymi - H.N.), odmawia się pełnej rehabilitacji urzędowej, między innymi na tej podstawie, że kara aresztu i grzywny zostały już jej darowane. Można

odnieć wrażenie, że jednym z powodów niedoprowadzenia sprawy Petrys - Hankus do definitywnego zakończenia jest niechęć ujawnienia różnych działań dr Petrysa, o których właśnie świadczą niedopuszczane do sprawy dowody".

Podczas gdy w Warszawie trwała walka o rewizję wyroku, z Krakowa odezwał się Tibor Petrys. Znając starania Profesora o rehabilitację doc. Hankus, włącza go do kręgu swoich wrogów i przygotowuje atak. Dnia 14 czerwca 1973 r. pisze do Profesora: - "Pozwalam sobie zakomunikować Panu, że w dniu 29 maja 1973 r. o godz. 23.30 Radio Wolna Europa w programie radiowym "Fakty i Zdarzenia" nadała audycję o posmaku politycznym. W audycji tej wymieniono Pana jako takiego, który podpisał się pod jakąś petycją, którą Reymannowie dostarczyli do Radia Wolna Europa oraz redakcji szkalującej Polskę Socjalistyczną, Kultury Paryskiej. Reymannowie wystosowali do redakcji Kultury Paryskiej i Radia Wolna Europa, pisma o treści oszczerczej oraz petycję z pańskim podpisem po to, aby skłonić obce agentury do podjęcia szkalowania i krytyki Polskiego Ustroju Prawnego, Ministerstwa Sprawiedliwości i Nauki Polskiej.(...) Mając na względzie stanowisko Reymannów (...) a szczególnie fakty: 1. tendencyjnego wprowadzenia Pana w błąd, 2. zatajenia przed Panem istotnych spraw, 3. wyłudzenia pańskiego podpisu do celów o których nie było mowy, 4. nadużycie pańskiego zaufania. Prosiłbym uprzejmie o pisemne oświadczenie zawierające wyżej wymienione cztery punkty oraz potępienie niegodnego postępowania Reimannów". O co chodziło? - Otóż Stanisława Reymann walcząc konsekwentnie o rehabilitację synowej, obroną metodą petycji i listów otwartych, w dniu 7 lutego 1973 r. skierowała jeden z takich listów do Angeli Davis. W tamtych czasach nazwisko Angeli Davis - członka Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Stanów Zjednoczonych i profesora prawa karnego na Uniwersytecie Wisconsin, gościło często na łamach prasy polskiej. Postać Angeli Davis nadawała się doskonale jako przykład dla wielu chodliwych wówczas tematów z zakresu publicystyki międzynarodowej. Stanisława Reymann uznała widać, że jest ona właściwym adresatem.

Wątpię czy list ten dotarł do rąk Angeli Davis, jako że Stanisława Reymann list przesłała pod adresem Przewodniczącego Zgromadzenia Ogólnego ONZ ministra Trepczyńskiego oraz Polskiego Komitetu Obrony Praw Człowieka. Ponieważ jego odpisy przesłała również do innych instytucji, które jej zdaniem powinny wiedzieć o sprawie, w tym m.in. do prasy, nastąpił "przeciek" (choć dziś trudno ustalić jak było naprawdę) i w efekcie wspomniana audycja w RWE i artykuł w Kulturze Paryskiej. Ponieważ w liście przytoczone było, wspomniane poprzednio oświadczenie profesorów J. Groszkowskiego i J. Szczepańskiego, T. Petrys uznał, że jest to niepowtarzalna okazja zaatakowania Profesora zważywszy jego funkcje państwowe oraz charakter wspomnianych placówek.

Profesor uznał żądania Petrysa za bezczelne i polecił Dyrektorowi Gabinetu Przewodniczącego OK FJN odpisać, iż: - "*nie podziela zawartych w liście konkluzji i nie uważa za celowe wypowiedzieć się pisemnie w poruszonych punktach*". Epizod ten miał się już wkrótce okazać niezwykle brzemienisty w skutki.

W dniu 14 września 1974 r. Prokurator Generalny po raz drugi składa w Sądzie Najwyższym wniosek o rewizję nadzwyczajną wyroku w sprawie doc. Hankus. Wyrok ten, mimo upływu czasu nie przestaje bulwersować opinii publicznej i nie ma nadziei na to, iż sprawa umrze śmiercią naturalną. Prokurator jak poprzednio wnioskuje o

uniewinnienie doc. Hankus "na zasadzie działania w przeświadczeniu, że jej zarzuty są prawdziwe".

Rozprawa odbywa się 22 września przy tym samym co poprzednio składzie sędziowskim. Do rewizji nie dochodzi. Skazana wnioskuje bowiem o wyłączenie wszystkich, znajdujących się w składzie sędziów i uzupełnienia akt przez wprowadzenie nowych materiałów dowodowych. Jej obrońca składa wnioski o odroczenie rozprawy, ponieważ nie zdążył zapoznać się dokładnie z aktami, jako że prowadzenie sprawy powierzono mu niedawno. Sąd przychyliła się do pierwszego wniosku oskarżonej oraz do wniosku jej obrońcy. Wniosek o dołączenie do akt nowych dowodów niewinności doc. Hankus - oddała, motywując, iż do akt nie należy wprowadzać żadnych nowych dowodów. Staje się to kolejnym punktem zapalnym - w aktach bowiem znajduje się dostarczona niedawno przez T. Petrysa opinia Rektora Politechniki Krakowskiej, a więc "nowy dowód". Do tego Reymannowie uznają tę opinię za fałszywą. Dr Petrys jest w niej bowiem przedstawiony jako "doktor habilitowany" oraz zaangażowany politycznie działacz partyjny. Może to mieć wpływ na ocenę jego sylwetki w oczach sędziów, tymczasem przecież do habilitacji nie doszło, a z partii został wyrzucony.

Na walce z tymi drobnymi szachrajstwami mijają ostatnie miesiące roku 1974 i sprawa doc. Hankus, wciąż nie załatwiona, rozpoczyna drugie dziesięciolecie swego istnienia.

Z początkiem roku 1975 T. Petrys rozpoczyna atak mający na celu wyeliminowanie z walki, lub chociażby tylko osłabienie, swojego nowego przeciwnika za jakiego uważa prof. Groszkowskiego. Wykorzystując opisany poprzednio epizod z RWE i Kulturą Paryską oskarża Profesora o "działalność na szkodę interesów i dobrego imienia PRL" w listach przesłanych do Premiera, Prokuratora Generalnego, Marszałka Sejmu i innych osobistości. Listy są jednobrzmiące, odbite na kserografie, istnieje więc podejrzenie, że nie są to jedyne egzemplarze.

W dniu 18 stycznia pisze Profesor do Przewodniczącego Rady Państwa prof. Henryka Jabłońskiego. *"- W dniu 8 stycznia 1975 r. Gabinet Prezesa Rady Ministrów przesłał mi (z uwagą: "do ewentualnego wykorzystania") pismo dr T. Petrysa z dnia 5 stycznia 1975 r. do Prezesa Rady Ministrów w trybie skarg i wniosków, dotyczące działania wiceprzewodniczącego Rady Państwa prof. dr J. Groszkowskiego na szkodę interesów i dobrego imienia PRL". Odpis pisma - skargi załączam."*

Dnia 23 stycznia do Prokuratora Generalnego PRL wpływa pismo Dyrektora Gabinetu Przewodniczącego Rady Państwa. - "W załączeniu - pisze Dyrektor Gabinetu - przesyłam list z cy Przewodniczącego Rady Państwa prof. dr Janusza Groszkowskiego. Uprzejmie proszę Towarzysza Prokuratora Generalnego o rozważenie możliwości podjęcia kroków związanych z ochroną Jego Imienia przed zniesławieniem".

W trzy tygodnie później, 15 lutego, Profesor kieruje na ręce I Sekretarza Komitetu Centralnego PZPR Edwarda Gierka pismo, w którym pisze m.in. - "W marcu br. mijają trzy lata sprawowania przeze mnie funkcji poselskich i uczestniczenia w Radzie Państwa, oraz prawie cztery lata pełnienia obowiązków przewodniczącego OK FJN. W okresie tego czasu musiałem się zetknąć z różnymi sprawami, z jakimi zwracali się do mnie ludzie szukający pomocy w dochodzeniu swoich racji. Obok spraw wyraźnie nie zasługujących na to, aby się nimi zająć oraz spraw drobnych, znalazły się sprawy poważne (nie leżące w sferze politycznej) świadczące o krzywdach, jakich

doznają obywatele ze strony niektórych urzędów w Polsce. Na tle tych spraw ujawniło się występowanie negatywnych objawów takich jak: nieposzanowanie prawa, lekceważenie obywatela, popieranie niesłusznego działania urzędu przez organa nadrzędne, niedopuszczanie - pomimo racji skarżącego się - do dezawuowania urzędnika w myśl zasady, że urząd jest nieomylny, nie tylko tolerowania jawnych przestępstw, ale i ochranianie ich sprawców itd. Niestety nie są tu bez winy organa wymiaru sprawiedliwości (...) Na podstawie mego czteroletniego doświadczenia z przykrością muszę stwierdzić, że w sprawach między "silnym" a "słabym" zbyt często wygrywa silny, pomimo że jego racja bywa mocno wątpliwa lub wprost jej nie ma.

W szczególności jedna z poważnych spraw, z którą się zetknąłem przed wieloma laty, jeszcze jako prezes PAN, a którą w ostatnich paru latach dokładnie poznałem, zmusiła mnie do głębokiego wejrzenia w ogrom popełnianych błędów i uchybień, potwierdzających zasygnalizowane objawy. obraz, jaki sprawa ta ukazała, jest szczególnie deprymujący, gdyż stroną stale wygrywającą, aż do najwyższych instancji wymiaru sprawiedliwości, jest oskarżyciel prywatny "cieszący się" niechlubną wprost przestępczą opinią, wydany z Partii, usunięty ze szkolnictwa wyższego, ale za to - jako związany z dobrze prosperującymi przedsiębiorstwami prywatnymi - finansowo silny i niewątpliwie mocno ustosunkowany. (...) Silny aferzysta (...) zachęcony wieloletnią bezkarnością i przychylną dla siebie atmosferą, dalej rozwija przestępcze machinacje, wyraźnie w swoich działaniach ochraniający przez różnych protektorów. (...) Jedną z konsekwencji tego stanu rzeczy są listy mnie obrażające, rozsyłane przez niego do władz państwowych i do wielu osób na czołowych stanowiskach. Dla pełniejszego scharakteryzowania wytworzonej sytuacji należy dodać, że list obrażający mnie jako posła, przewodniczącego OK FJN oraz z-cę przewodniczącego Rady Państwa, przesłany do Urzędu Rady Ministrów - jako skarga na mnie - nie spotkał się w tym urzędzie z żadną reakcją urzędową. Natomiast pismo rodziny owej niesłusznie skazanej, będące skargą na nieprawidłowości działania organów administracyjnych (...) zostało natychmiast, z urzędu, skierowane do prokuratora, celem pociągnięcia skarżących się, do odpowiedzialności za obrazę władzy miejskiej.

W tych warunkach, nie mając wprost siły, aby być świadkiem tego, co się dzieje, widzę jedyne rozwiązanie, które umożliwiłoby mi - bez utraty dla siebie szacunku i bez sprawiania innym dalszego kłopotu moimi interwencjami - odcięcie się zupełnie od tych przykrych dla mnie spraw: zaprzestanie pełnienia obecnych moich funkcji".

W dniu 16 lutego wiceprokurator Prokuratury Wojewódzkiej oddelegowany do Prokuratury Generalnej, Zbigniew Kałuża, postanawia wszcząć śledztwo w sprawie publicznego znieważenia naczelnego organu PRL - Rady Państwa w osobie prof. Janusza Groszkowskiego. W uzasadnieniu postanowienia pisze: - "W miesiącu styczniu 1975 r. do Prezesa Rady Ministrów PRL i Prokuratora Generalnego PRL wpłynęły pisma sporządzone maszynowo, pod treścią których zamieszczone zostały podpisy Tibora Petrysa. Pisma te, noszące datę 5.I.1975 r. są jednakowej treści i formy. Treść obu wymienionych pism zawiera szereg sformułowań łączących naczelną organ PRL - Radę Państwa w osobie prof. dr Janusza Groszkowskiego. Biorąc powyższe pod uwagę, a zwłaszcza treść tych pism oraz działanie noszące znamiona publiczności - wszczęcie postępowania przygotowawczego w tej sprawie jest uzasadnione".

Ponieważ owo postępowanie przygotowawcze toczy się jednak w ślamazarnym tempie, Profesor zaczyna podejrzewać, że może skończyć się niczym; w dniu 5 kwietnia, a więc na dzień przed upływem określonego prawem terminu przedawnienia, kieruje do Sądu Powiatowego w Warszawie prywatny akt oskarżenia przeciwko T. Petrynowi o to, że: - "...celem poniżenia mnie w opinii publicznej oraz w oczach moich przełożonych i szeregu osób, do których list identycznej treści rozesłał, jak również narażenia mnie na utratę zaufania potrzebnego na stanowiskach, jakie zajmuję oraz dla mojej działalności - przedstawił szereg nieprawdziwych stwierdzeń, krzywdzących mnie jako człowieka, posła, z-cę przewodniczącego Rady Państwa i przewodniczącego OK FJN i postawił różne niesłuszne zarzuty, z których najcięższy pomawia mnie o "działalność na szkodę interesów i dobrego imienia PRL".

Zainteresowanie Profesora losami toczącego się śledztwa przeciwko T. Petrynowi w prokuraturze, tym większe, że podyktowane podejrzeniem coraz bardziej uzasadnionym, iż prowadzący je usiłują sprawę rozmyć, odnosi wreszcie skutek. W dniu 19 kwietnia Profesor otrzymuje list od Prokuratora Generalnego PRL. - "Melduję Obywatelowi Przewodniczącemu - pisze Prokurator Generalny - że w Prokuraturze Generalnej przeprowadzono i zakończono śledztwo przeciwko Tiborowi Petrynowi, byłemu pracownikowi naukowo-dydaktycznemu Politechniki Krakowskiej o znieważenie przez niego Rady Państwa w osobie obywatela, jako Zastępcy Przewodniczącego Rady Państwa. (...) Zakończono również śledztwo przeciwko Stanisławie Reymann zam. w Krakowie, która w liście z dnia 16 grudnia 1974 r. skierowanym do Prezesa Rady Ministrów PRL i I Sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Krakowie, znieważała Prezydenta m. Krakowa Jerzego Pękale, pomawiając go między innymi o branie w ochronę b. kierownika Wydziału Spraw Lokalowych skazanego za łapownictwo.

Melduję również Obywatelowi Przewodniczącemu, że wstrzymałem się ze skierowaniem do sądu aktów oskarżenia w tych sprawach, do czasu rozstrzygnięcia przez Sąd Najwyższy rewizji nadzwyczajnej, jaką wniosłem na korzyść obywatelki Aleksandry Hankus-Reymann, od wyroku Sądu Powiatowego dla m. Krakowa z dnia 14 grudnia 1965 r. skazującego Hankus za zniesławienie Tibora Petrysa przez zarzucenie mu przywłaszczenia w jego pracy habilitacyjnej wyników pracy zespołu".

List ten odczytuje Profesor jako propozycję - do takich propozycji nie jest przyzwyczajony, uważa ją za obelgę. Reakcja jest gwałtowna, zbyt gwałtowna jak na serce człowieka, który pisał w cytowanym poprzednio liście do I Sekretarza: - "W marcu bieżącego roku rozpoczynam trzeci rok zimy mego życia".

Gra o praworządność

Zawał serca i trwająca następnie rekonwalescencja wyłącza Profesora na wiele tygodni z aktywnego życia.

W dniu 11 lipca, po jedenastu latach walki o rehabilitację, Sąd Najwyższy uwalnia wreszcie doc. Hankus od winy zniesławienia i obrazy dr Petrysa. Stwierdza, że zarzuty przez nią postawione się potwierdziły, że działała w interesie społecznym i w ramach dozwolonej prawem krytyki naukowej. Otrzymuje więc satysfakcję moralną - gorzka to jednak satysfakcja.

Tymczasem toczy się dalej sprawa przeciwko Tiborowi Petrynowi o znieważenie naczelnego organu władzy państwowej - Rady Państwa w osobie prof.

Groszkowskiego. W tej sprawie jednak tylko formalnie chodzi o obrazę, tylko formalnie oskarżonym jest Petrys. Jej przebieg w ciągu 10 miesięcy 1975 r. przedstawia Profesor w streszczeniu w swoim piśmie do Prokuratora Generalnego z dn. 13 listopada.

"Ponieważ jednym z głównych zarzutów - pisze Profesor - jakie mi Petrys postawił w swojej skardze, było działanie na szkodę interesów PRL, przeto w dniu 15.I.1975 r. skierowałem do Przewodniczącego Rady Państwa pismo z prośbą o wyciągnięcie - w związku z listem Petrysa - konsekwencji w stosunku do mnie, jeśli postawione mi zarzuty są uważane za uzasadnione, bądź pociągnięcie do odpowiedzialności Petrysa za zniesławienie mnie.

Ze względu na to, że okres 3-miesięczny przewidziany prawnie dla przedawnienia mego zniesławienia przez Petrysa mijał w dniu 7.IV., nie mając żadnej wiadomości o jakiegokolwiek akcji z urzędu podjętej w mojej obronie, zmuszony byłem wnieść do Sądu Powiatowego w Warszawie w dniu 5.IV.1975 r. prywatne oskarżenie przeciwko Petrysowi. Sąd Powiatowy decyzją z dnia 11.IV. bez mojej wiedzy i zgody i bez zarejestrowania, przesłał moje oskarżenie do Prokuratury Powiatowej Warszawa-Śródmieście. Takie postępowanie uważałem za odmowę przyjęcia mego aktu oskarżenia i przeto w dniu 18.IV. wystąpiłem z zażaleniem o uchylenie tej decyzji. (...) Zażalenie moje również zostało przesłane do tej Prokuratury, która zresztą - przy piśmie z dnia 6 maja - zwróciła materiały Sądowi Powiatowemu, gdyż nie znalazła podstaw do objęcia oskarżenia w niniejszej sprawie.

W dniu 19 kwietnia otrzymałem od ob. Prokuratora Generalnego pismo (z datą 17.IV.1975 r. - bez numeru dziennika) z którego, oraz dołączonej do niego notatki, dowiedziałem się, że w dniu 16 lutego, między innymi, zostało wszczęte śledztwo przeciwko T. Petrysowi (...), że zostało ono przeprowadzone i zakończone. W piśmie tym podano również, że skierowanie aktu oskarżenia do sądu zostało wstrzymane do czasu rozstrzygnięcia przez Sąd Najwyższy rewizji nadzwyczajnej w sprawie Aleksandry Hankus. (...)

Wiedząc z dotychczasowego doświadczenia, że doprowadzenie do procesu rehabilitacyjnego w Sądzie Najwyższym może trwać bardzo długo, w dniu 10 czerwca wystąpiłem do Sądu Powiatowego o wyznaczenie w mojej sprawie przeciwko Petrysowi rozprawy na ostatnią dekadę czerwca 1975 r. Rozprawa została wyznaczona na dzień 12 lipca, lecz pismem z dnia 10 lipca zostałem zawiadomiony o zdjęciu sprawy z wokandy. (...)

Tymczasem w dniu 2 sierpnia otrzymałem od ob. Prokuratora Generalnego pismo, że prowadzone przeciwko T. Petrysowi postępowanie przygotowawcze jest w pełnym toku i aktualnie podjęto kroki do jego zakończenia w terminie do końca 1975 r. Pismo to, a zwłaszcza następne pismo z dnia 11 września stwierdzające, że: śledztwo przeciwko Petrysowi nie zostało zakończone w terminie dotychczas zakreślonym ponieważ Petrys do 26 sierpnia przebywał poza granicami PRL, stały się dla mnie powodem wielkiego zaskoczenia, gdyż były w jawnej sprzeczności z pismem z dnia 19 kwietnia, które stwierdzało, że śledztwo zostało już wówczas zakończone.

Tak więc, gdy piszę niniejsze pismo, w pierwszej połowie listopada 1975 r., mogę stwierdzić, że od otrzymania obraźliwego listu Petrysa upłynęło 10 miesięcy; od wszczęcia śledztwa - 9 miesięcy, od wniesienia przeze mnie oskarżenia do Sądu Powiatowego - 6 miesięcy, od wyroku Sądu Najwyższego rehabilitującego doc. Hankus - 4 miesiące.

W okresie tych 10 miesięcy (...) Petrys był autorem wielu dalszych listów, lub oświadczeń podtrzymujących lub pogłębiających w sposób dalej kłamliwy obraźliwe sformułowania nie tylko w stosunku do mnie, ale i innych osób, które przeciwstawiły się jego niecnemu postępowaniu. (...) Powstrzymuję się od sformułowania wniosku, jaki należałoby na podstawie przytoczonych faktów wyciągnąć.

W dniu 15 grudnia Profesor pisze list do Prezydium Sejmu, w którym przedstawia szczegółowo sprawę Petrysa i postępowanie organów wymiaru sprawiedliwości w tej mierze. "Dla pełniejszego scharakteryzowania istniejących stosunków powinienem poinformować - pisze - że na moje pismo w omawianych sprawach, skierowane do Prokuratora Generalnego w dniu 13 listopada, do dnia dzisiejszego nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. (...) Ponieważ wyczerpałem wszystkie dostępne mi środki, wykazałem ogrom cierpliwości, przepląciłem zdrowiem wiele porażek, a niereagowanie na moje ostatnie pismo do Prokuratora Generalnego uważam za lekceważenie - w pewnym stopniu - autorytetu Rady Państwa PRL, niniejszym składam rezygnację ze stanowiska członka Rady Państwa, a tym samym z jej z-cy przewodniczącego i proszę Prezydium Sejmu o nadanie właściwego biegu mojej rezygnacji".

Przed złożeniem tego pisma w Prezydium Sejmu Profesor informuje o powziętej decyzji, w rozmowie telefonicznej, wicemarszałka Sejmu prof. Andrzeja Werblana. Dalszy ciąg wydarzeń przedstawiony jest w piśmie do prof. Werblana z dnia 22 grudnia. "...przygotowałem pismo do Prezydium Sejmu, które pierwotnie zamierzałem przesłać w dn. 17 grudnia. W ostatniej jednak chwili, mając na uwadze posiedzenie Sejmu w dniach 18 i 19 grudnia - aby nie stwarzać - pewnym stopniu - zaskoczenia, zdecydowałem się przesłać je po posiedzeniu w dniu 20 grudnia. W dniu 17 grudnia odbyła się rozmowa telefoniczna z Obywatelom Marszałkiem. (...) W dniu 18 grudnia rano zawiadomiono mnie, że nadeszło pismo od Prokuratora Generalnego z datą 17.XII., w którym komunikuje o zakończeniu postępowania przygotowawczego i zamiarze skierowania w najbliższych dniach aktu oskarżenia przeciw Petrysowi do Sądu Wojewódzkiego w Warszawie. (...)

Jestem bardzo zobowiązany Obywatelowi Marszałkowi za zadziałanie, wynikiem czego nastąpiła wprost błyskawiczna reakcja ze strony Prokuratury. Rodzą się jednak we mnie obawy, że moje działania w interesie praworządności, zamiast być uważane za godne uznania współdziałanie z obowiązkami organów sprawiedliwości spotykały się i chyba nadal spotykają z oporami tak jak gdybym to ja był przestępcą, a osobnik, przeciwko któremu występuję jest ofiarą wymagającą obrony ze strony organów wymiaru sprawiedliwości (...)"

Interwencje odnoszą jednak skutek. Przewodniczący Rady Państwa prof. Henryk Jabłoński zawiadamia Profesora w liście z dnia 30 grudnia. "...informuję Obywatela Profesora, że Prokurator Generalny zawiadomił mnie pisemnie, iż został wniesiony do Sądu Wojewódzkiego w Warszawie akt oskarżenia przeciwko Tiborowi Petrysowi, oskarżonemu o znieważenie Zastępcy Przewodniczącego Rady Państwa - prof. dr Janusza Groszkowskiego."

W dniu 23 stycznia Profesor pisze do I Sekretarza KC PZPR: "...wobec nieocyszczenia mnie dotychczas z ciężkich zarzutów oraz wobec niezgodnych z prawem zabiegów, utrudniających mi obronę mojego dobrego imienia, składam na ręce Obywatela I Sekretarza rezygnację z funkcji Przewodniczącego OK FJN. (...)

Występując z tym protestem pragnę podkreślić, że nie chodzi mi w tej chwili o taki czy inny wyrok na Petrysa, gdyż tym zajmie się sąd, a jedynie o zgodne z prawem prowadzenie procesu i dopuszczenie obciążających przestępcę dowodów. Jestem bowiem zainteresowany w tym, aby przeprowadzony publicznie i zgodnie z prawem proces wykazał, że zostałem zniesławiony niezgodnymi z prawdą zarzutami i że moje postępowanie jako posła i członka Rady Państwa było zawsze słuszne i uczciwe. Od tego żądania nie mogę odstąpić".

Skutek tego protestu był widać niewielki, skoro w dwa tygodnie później, 18 lutego 1976 r. Profesor składa na ręce Marszałka Sejmu legitymację poselską i dekrety nominacyjne. W załączonym memoriale pisze: "W intencji obrony praw mego kraju oraz protestując przeciw prześladowaniom za wystąpienia z usprawiedliwionymi interwencjami poselskimi, zrzekam się mandatu posła na Sejm z Okręgu Wyborczego nr 1 w Warszawie i w konsekwencji funkcji członka i zastępcy Przewodniczącego Rady Państwa Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Przyczyny tej decyzji są następujące: Dnia 5 stycznia 1975 r. do Premiera, Marszałka Sejmu, Prokuratora Generalnego i innych osobistości rozesłane zostało przez Tibora Petrysa pismo zarzucające mi przy użyciu obraźliwych wyrazów, że uczestniczyłem w akcjach szkalowania ustroju i naczelných organów PRL w Kraju i poza granicami Państwa Polskiego, że współpracowałem w tej akcji z wrogimi Polsce ośrodkami dywersji ideologicznej i politycznej, i że dokonywałem innych przestępczych działań na szkodę interesów PRL.

Obcokrajowiec Tibor Petrys, milioner, jest ukaranym przez Sąd PRL i wydalonym z Partii oszustem, prowadzącym w Polsce zakrojoną na szeroką skalę działalność przestępczą. Osobnik ten zorganizował coś w rodzaju gangu, zajmującego się przerzutem chemikaliów, elektrycznych maszyn do liczenia i - jak twierdził IKR - dewiz poprzez granicę Polski i Austrii, bez uiszczania należnych opłat celnych, za co został skazany prawomocnym wyrokiem sądowym.

Pracując na Politechnice Krakowskiej przywłaszczał sobie wyniki zespołowej pracy naukowej dla wyłudzenia stopnia docenta - unieważnionego potem przez Ministra Szkolnictwa Wyższego. Charakterystycznymi cechami Petrysa było posługiwanie się nienależnymi mu tytułami, wyłudzenie i przedkładanie różnym instytucjom fałszywych zaświadczeń i opinii, składanie fałszywych oświadczeń i zeznań oraz brutalne i bezczelne atakowanie tych wszystkich osób lub instytucji, które przeciwstawiały się jego przestępczej działalności. Pełną listę przestępstw Petrysa obejmującą około 20 pozycji przedstawiłem Radzie Państwa. O rozmiarach szkodliwej działalności Petrysa świadczy fakt wystąpienia przez Najwyższą Izbę Kontroli z wnioskiem o wysiedlenie Petrysa z Polski jako uciążliwego cudzoziemca prowadzącego pasożytniczy tryb życia. Oto portret przestępcy, który mnie znieważył, widziany w świetle dokumentów urzędowych.

Jedną z pierwszych ofiar działalności Petrysa była doc. dr hab. Aleksandra Hankus, która - za złożenie skargi do Rady Wydziału Mechanicznego Politechniki Krakowskiej przeciw przywłaszczeniu pracy w celu wyłudzenia stopnia docenta - skazana została w 1965 r. przez Sądy PRL z oskarżenia Petrysa na karę 11 miesięcy bezwzględnego aresztu, 5 tys. zł grzywny i ogłoszenie wyroku w prasie. Ponieważ sprawa dotyczyła środowiska naukowego, zainteresowałem się nią wówczas jako prezes PAN, i po przekonaniu się na podstawie gruntownie zbadanych materiałów o

winie Petrysa, wystąpiłem - po wyborze na posła - z interwencjami poselskimi na rzecz ponownego zbadania procesu.

Po 11 latach walki, w toku której - dla złamania oporu pokrzywdzonej - organa wymiaru sprawiedliwości w bezprzykładny sposób ją szykanowały i prześladowały posuwając się nawet do prób poddania dziekana polskiej wyższej uczelni badaniom psychiatrycznym, Sąd Najwyższy, wyrokiem z dnia 12 lipca 1975 r., całkowicie ją zrehabilitował i uniewinnił. Orzekł, że doc. Hankus udowodniła Petrynowi przywłaszczenie pracy naukowej i próbę wyłudzenia stopnia docenta oraz, że jej postępowanie było obroną uzasadnionego interesu publicznego. Jasne więc jest, że interwencja poselska i działanie na rzecz niesłusznie skazanej było całkowicie usprawiedliwione, a paszkwil Petrysa na mnie był odwetem za występowanie w obronie interesu publicznego.

Kiedy jedne instancje wymierzały Petrynowi wielusettyśne grzywny i domiary, unieważniały przywłaszczoną pracę i wyłudzony stopień, skazywały za oszustwa podatkowe i postulowały wysiedlenie z Polski, pewni funkcjonariusze wymiaru sprawiedliwości osłaniali go, umożliwiając kontynuację przestępczej działalności. Miałem się o tym przekonać, gdy Przewodniczący Rady Państwa polecił Prokuraturze Generalnej ściganie oszczercy i gdy - wobec ociągania się Prokuratury - byłem zmuszony do złożenia prywatnego aktu oskarżenia o zniesławienie.

Prokuratura Generalna przez rok zwlekała z wniesieniem aktu oskarżenia, uchylając się od ustalenia obciążających oskarżonego faktów. W złożonym akcie oskarżenia o znieważenie w mojej osobie - Rady Państwa, Prokuratura Generalna nie ujawniła - poza wyrokiem za oszustwa podatkowe - praktycznie biorąc żadnego z obciążających Petrysa faktów i dowodów: wniosku Najwyższej Izby Kontroli zawierającego dokumentację przestępstw Petrysa i postulującego wysiedlenie go z Polski, kilkakrotnego posłużenia się fałszywą opinią, złożenia fałszywych zeznań, dwukrotnego znieważenia Ministra NSzWiT jak również dalszego, wielokrotnego znieważenia mojej osoby.

Dnia 6 stycznia 1976 r. po 8 miesiącach walki ze mną o zarejestrowanie sprawy z mego oskarżenia, o nadanie jej sygnatury, o dopuszczenie obciążających oszusta dowodów i o przeprowadzenie rozprawy, Sąd Rejonowy w Warszawie sprawę moją umorzył i obciążył mnie kosztami procesu przestępcy, który mnie zniesławił. (...)

Nie trzeba być prawnikiem, aby w tych nadużyciach dostrzec wyjątkowo rażące naruszenie porządku prawnego. Dlatego też gdy Sąd Wojewódzki uchylił się od dopuszczenia obciążających Petrysa dowodów i zarządził na wniosek Prokuratora tajność rozprawy pod pretekstem ochrony autorytetu Rady Państwa, a Petrys tę decyzję poparł, musiałem potraktować to utajnienie procesu jako chęć ukrycia popełnionych nadużyć przed opinią publiczną i zamiar utrudniania mi obrony przed atakami notorycznego przestępcy.

W całej sprawie postępowalem z cierpliwością i rozwagą. Jako obywatel Polski Ludowej i jej poseł jestem zobowiązany do przeciwstawiania się nadużyciom wszelkimi środkami jakie stoją do mojej dyspozycji, i dlatego - po wyczerpaniu wszelkich dostępnych mi możliwości protestu i po poinformowaniu najwyższych władz politycznych i państwowych o omawianych wyżej nadużyciach, rezygnuję z mandatu poselskiego i funkcji członka Rady Państwa. Czynię to, aby moi wyborcy i

społeczeństwo, na których opinii mi szczególnie zależy, dowiedzieli się, że nie zgadzam się z popełnionymi nadużyciami, i że wyczerpałem wszelkie możliwości przeciwdziałania złu.

Powyższy protest i złożona wcześniej rezygnacja z funkcji przewodniczącego OK FJN nie mają żadnych akcentów politycznych (...) w mej rezygnacji z mandatu poselskiego trzeba widzieć jedynie protest przeciw naruszaniu konstytucyjnych gwarancji praworządności.

Z bólem i goryczą piszę te słowa i rezygnuję z mandatu poselskiego. Mnie napaść stwierdzonego sądownie przestępcy i wydalonego z Partii oszusta ujmy i tak nie przyniesie. Moje nazwisko nie potrzebuje ochrony sądowej. Ochrony natomiast potrzebuje dobre imię polskiego wymiaru sprawiedliwości, narażone na szwank bezprzykładnym postępowaniem nieodpowiedzialnych sędziów i prokuratorów, łamaniem i naginaniem prawa, prześladowaniem uczciwych ludzi za przeciwstawienie się panoszącemu złu. Tylko dlatego uważam za swój obywatelski obowiązek doprowadzenie procesów przeciw Petryswi do sprawiedliwego zakończenia i tylko dlatego zdecydowałem się na tego rodzaju protest.

Dla uniknięcia niewłaściwych komentarzy proszę Obywatela Marszałka o zaznajomienie Obywateli Posłów z treścią mego pisma przed lub na posiedzeniu Sejmu i podanie mojej rezygnacji do wiadomości środków masowego przekazu".

Odejście Profesora z Sejmu i Rady Państwa odbywa się jednak zgodnie z uświęconym zwyczajem. Marszałek Sejmu zawiadamia o tym Profesora w piśmie z dnia 23 lutego 1976 r. "...w odpowiedzi na ostatni list uprzejmie informuję, że w najbliższym czasie odbędzie się proces ob. Petrysa. Wówczas ukaże się komunikat prasowy informujący o sprawie oskarżenia ob. Petrysa o zniesławienie Wiceprzewodniczącego Rady Państwa Ob. Profesora i o wyroku obwinionego. Myślę, że w ten zrealizowany zostanie główny wniosek Ob. Profesora. Wcześniejsze wydanie komunikatu sądzę, że byłoby niewłaściwe, mogłoby bowiem wywołać różnorodne komentarze w kraju i za granicą - źle służące stosunkom politycznym".

"Ciche odejście" wywołuje jednak głośne komentarze w kraju i za granicą.

Tymczasem "sprawa Petrysa" zbliża się powoli do zakończenia. O ostatnich, w związku z tą sprawą, potyczkach pisze Profesor w piśmie do tzw. "Komisji Rady Państwa ds. memoriału J. Groszkowskiego" z dnia 2 marca 1976 r. "W związku z uporczywym niedopuszczaniem obciążających oskarżonego Petrysa dowodów zmuszony zostałem do złożenia wniosków o wyłączeniu sędziów i prokuratorów od udziału w postępowaniu. Jestem bowiem zdania, że tacy prawnicy stwarzają uzasadnioną wątpliwość co do ich bezstronności. (...) Chciałbym zwrócić uwagę, że znajduję się w posiadaniu pism Prokuratora Generalnego z dnia 24 stycznia 1976 r. i 27 stycznia zawierających informację, że nakazał dopuszczenie dowodów oskarżającemu prokuratorowi, który polecenia tego nie wykonał. Stwarza to we mnie wątpliwość, kto tu właściwie wprowadza mnie w błąd: czy Prokurator Generalny w kierowanych do mnie pismach, czy jego przedstawiciel w sądzie?".

Trzynastego marca 1976 r. Sąd Wojewódzki w Warszawie skazuje Tibora Petrysa za znieważenie naczelnego organu władzy państwowej - Rady Państwa w osobie prof. Groszkowskiego oraz za posłużenie się fałszywymi dokumentami i biorąc pod uwagę, że był już poprzednio karany, na dwa i pół roku więzienia oraz zasądza się

od niego na rzecz Profesora 1 złoty tytułem zadośćuczynienia za krzywdę moralną. W dniu 23 czerwca 1976 r. Sąd Najwyższy zmniejsza ww. karę do jednego roku więzienia. Petrys odsiaduje pół roku.

Miara prawdziwej wielkości

Obchody 90-lecia urodzin Profesora Janusza Groszkowskiego, jakie odbyły się 26 marca br. w hallu Wydziału Elektroniki Politechniki Warszawskiej, nosiły uroczysty, jubileuszowy charakter i połączone były z nadaniem gmachowi Wydziału Elektroniki imienia Profesora na mocy uchwały tegoż Wydziału. Nie obyło się bez okolicznościowych wystąpień prominentów różnych szczebli oraz dekoracji okolicznościowym medalem osób, które współpracowały przez lata z Profesorem, w tym osób, które pełniły funkcję dyrektorów trzech instytutów (Przemysłowy Instytut Telekomunikacji, Instytut Łączności i Instytut Tele- i Radiotechniczny), których protoplastą był PIT Groszkowskiego.

W opracowaniu, poświęconym działalności naukowej, społecznej i organizatorskiej Profesora, zabrakło informacji o tym, że był On współzałożycielem i pierwszym Honorowym Prezesem Polskiego Towarzystwa Synergetycznego. Informuję o tym, nie zdziwiony brakiem wzmianki o tym ważkim odcinku działalności Profesora, gdyż PTS nie ma nic wspólnego z działalnością adherentów Profesora, licznie wyróżnionych medalem pamiątkowym.

Sylwetkę Profesora Janusza Groszkowskiego przedstawiłem już tak, jak ją widziałem we wspomnieniu pośmiertnym opublikowanym w 1984 r. na łamach PT ("66 lat służby Ojczyźnie"). Do sformułowania poniższych uwag skłoniły mnie: zarówno przebieg uroczystości i niektóre wypowiedzi, jak i smutna zaduma nad rolą oświelenia zewnętrznego przy tworzeniu obrazu wielkich ludzi, pozostawiania potomnym obrazu wygładzonego w myśl wyobrażeń tych, którzy to wygładzanie prowadzą. W czasie wygładzania ginie niejednokrotnie prawdziwa wielkość.

Pierwsza z refleksji, jakie mi się nasunęły w trakcie uroczystości, dotyczy urzędowej, reglamentowanej niejako formy przyznawania medalu pamiątkowego. Otrzymało go kilkadziesiąt osób, w tym z numerem 1 - autor opracowania o Profesorze. Medal to wprawdzie pamiątkowy, lecz chyba zbyt pochopnie zrobiono od razu masówkę, bo za zasługi na miarę działalności Janusza Groszkowskiego godziłoby się ufundować medal zasługi taki, jaki np. towarzyszy przyznaniu nagrody im. Marii Skłodowskiej Curie.

Z wystąpienia prezesa PAN wynikało, że cały świat nauki podziwia i podziwiał działalność Profesora oraz z nim się solidaryzował. W jaskrawej sprzeczności - z tonem całego wystąpienia stoi fakt, że w uchwale Zgromadzenia Ogólnego PAN z grudnia 1980 r. wyrażono podziękowanie Profesorowi "za niezłomną i samotną walkę w obronie praworządności". Profesor był w swojej walce osamotniony i zabrakło delikatnego choćby uderzenia się w pierś ze strony przemawiających, a nie wszyscy z nich byli w latach 1976...1980 tak słabi, że mogli tylko sympatyzować z heroizmem Profesora. Zabrakło również w momentach krytycznych zwykłej ludzkiej życzliwości i troski o człowieka, który tyle zrobił dla Ojczyzny.

Czytelnicy PT pamiętają serię artykułów Profesora poświęconych opisowi jego zmagania "w obronie praworządności". Przypomnę tylko, że Profesor stanął w obronie pracownika naukowego przed miażdżącymi atakami ambitnego autora, który (abstrahując od tego, czy popełnił plagiat pracy habilitacyjnej, czy nie), według oceny

jednego z autentycznych w kraju autorytetów: przedstawił w pracy metodę przetwarzania dobrych surowców w złe materiały. Profesor poddawany był następnie sam zniesławiającym atakom owego autora bez właściwej reakcji ze strony władz, niebacznym na to, że chodziło przecież o osobę zastępcy przewodniczącego Rady Państwa, posła do Sejmu PRL i przewodniczącego Frontu Jedności Narodu.

Profesor podjął się walki w obronie jednego człowieka i prowadził ją do końca rezygnując z funkcji państwowych i społecznych na znak protestu przeciw łamaniu praworządności w PRL. Chciałbym to podkreślić, gdyż wielu jest u nas walczących o "prawa człowieka", lecz nie znam drugiej osoby, która w obronie konkretnego człowieka postawiłaby wszystko na jedną kartę. Późniejsze gorzkie sformułowanie Profesora o "kolaboracji z reżimem", opublikowane na łamach Słowa Powszechnego w 1981 r. miało wydźwięk osobistej tragedii człowieka, który całe życie poświęcił służbie Ojczyźnie. Profesor nie tylko nie negował dokonanych po wojnie historycznych zmian ustrojowych, lecz dokładał wszystkich sił, by Ojczyzna rosła i potężniała w nowej sytuacji politycznej, a zrobił w tym zakresie bardzo wiele. W ostatnich latach swego życia Profesor miał poczucie bezsensu własnych wysiłków wobec stanowiska władz zajętych czymś innym niż tym, do czego zostały powołane. Musiałem o tym napisać, a rozpisywać się dłużej nie mogę, by prawdziwej wielkości nie gubić w morzu laurkowych zachwyty.